

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

do- świad- czenie i nie- cierpli- wość

6 stycznia 1981 roku w sali konferencyjnej Łódzkich Zakładów Radiowych „Fonica” odbyło się spotkanie przedstawicieli zakładowej organizacji partyjnej z ministrem gospodarki materiałowej — EUGENIUSZEM SZYREM. W spotkaniu uczestniczyli przedstawiciele innych organizacji zakładowych, wyższych uczelni, dzielnicowych instancji partyjnych, Komitetu Łódzkiego PZPR, dziennikarze. 14 listopada 1980 roku odbyło się w „Fonice” plenarne posiedzenie Komitetu Zakładowego PZPR, na którym omawiano i przyjęto dokument zatytułowany „Co robić? Pałace zagadnienia naszego ruchu”. 30 listopada 1980 roku w tejże „Fonice” odbyło się konwersatorium na temat „Co robić? Dyskusji ciąg dalszy”, w którym uczestniczyli członkowie Komisji Ideologicznej KŁ PZPR, przedstawiciele wyższych uczelni, sekretarze KZ i POP z łódzkich i wojewódzkich zakładów pracy, lektorzy KŁ, przedstawiciele środowisk twórczych, członkowie organizacji partyjnej „Foniki”. Zebrani powołali komisję wnioskową, która opracowała wnioski zgłoszone w dyskusji. Jeden z wniosków brzmi:

„Wyrażono aprobatę dla inicjatywy KZ PZPR „Fonica”, dokonując jednocześnie krytycznej oceny przedstawianych dokumentów i materiałów. Między innymi proponuje zmianę nazwy partii spotkła się ze zdecydowanym sprzeciwem. Postulowano, aby we wszystkich organizacjach partyjnych podjąć dyskusję dotyczącą dróg wyjścia z kryzysu partii”.

Inicjatywa „Foniki” spotkała się z bardzo różnym przyjęciem. Niektórzy posądzali organizację partyjną ŁZR „Fonica” o działalność frakcyjną, o rewizjonizm, schizmę i różne inne brzydkie rzeczy. Krzysztof Pawlak — I sekretarz KZ PZPR w „Fonice” w zagajeniu spotkania z Eugeniuszem Szyrem powiedział między innymi: „Organizacja partyjna „Foniki” wyszła z referatem, który w bezkompromisowy sposób stawiał wiele pytań, przedstawiał rozwiązania dotyczące partii, jak i życia gospodarczego i społecznego, szokował propozycją, aby w przyszłości Zjazd zastanowił się nad zwieńczeniem procesu odnowy zmianą nazwy partii... Był to z założenia materiał, który miał za za-

Dalszy ciąg na str. 3

WŁODZIMIERZ
PITKIEWICZ

ZANIM ŁÓDŹ OBJĘŁA OBOWIĄZKI STOLICY

12 stycznia 1945 roku rozpoczęła się wielka styczniowa ofensywa wojsk radzieckich, która reszcie Polski przyniosła

wolność. Część wschodnia Polski, czyli tak zwana Polska lubelska wyzwolona została w lipcu 1944 roku, 17 stycznia 1945 roku wolna była Warszawa, 19 stycznia — Łódź. Są to fakty historyczne.

Trochę rozważań o historii

Zawsze w styczniu obchodzimy uroczystości kolejną rocznicę wyzwolenia Łodzi. W tym roku — trzydziestą szóstą. A więc było to 36 lat temu. Dla pokolenia, które urodziło się już w wolnej Polsce Ludowej jest to tylko wydarzenie historyczne, poznane w szkole, trochę może z opowiadań starszych. Młodzi mogą się zastanawiać, czy to jest ważne wydarzenie? Tyle mamy przecież różnych dat historycznych.

Jest to ważne wydarzenie. Jego sensu nie zrozumie nikt, kto nie spróbuje zrozumieć tragedii, jaką przeżywał naród polski w czasie okupacji hitlerowskiej. Tego dnia, kiedy radzieckie czołgi przyniosły wolność Łodzi, kiedy przynosiły wolność innym miastom, ludzie płakali ze szczęścia. I z niepokojem słuchali odgłosów wystrzałów armatnich, czy aby

Dalszy ciąg na str. 4-5

Emerytowany inżynier rolnik, Stanisław Frontczak, nauczony przykrymi doświadczeniami, bo np. przez 20 lat naukowcy nie dopuszczali do realizacji siewnika jego pomysłu do wysiewu traw i nasion motylkowych, rewelacji w skali światowej, tym razem wcześniej postarał

zatorskie „nie otrzymały do-tychczas pozytywnej oceny co do ich przydatności dla gospodarki narodowej”.

Inż. Frontczak pojechał zimą do Łękińszka za Belchatowem i gołymi rękami wygrzebał spod śniegu trochę torfu. Próbkę wysłał do Instytutu Warzywnictwa

RYSZARD BINKOWSKI

MARTWICA

się o ochronę praw autorskich. Urząd Patentowy PRL stwierdził, że dnia 10. IV. 1978 r. dokonane zostało za numerem P-206024 zgłoszenie w sprawie uzyskania patentu tymczasowego pt. „Torf jako pasza w żywieniu zwierząt domowych i drobiu”. Inż. Frontczak był ostrożny, nie chciał bowiem ponownie uzyskiwać ocen, w których mówi się, że zgłaszane przez niego projekty racjonalni-

w Skłerniewicach. Analiza chemiczna wykazała, że w litrze torfu belchatowskiego znajdują się 32 mg fosforu, 10 mg potasu, 62 mg azotu i 960 mg wapnia. Inżynier uznał, że skoro torf jest masą organiczną, powstałą z bujnej roślinności, a pokłady torfu to nic innego, jak naturalne zbiorniki siłowe to jego zmartwiałe szczątki będzie

Dalszy ciąg na str. 7

JACEK INDELAŁ

CO SIĘ KOŁACZE W LUDZKIEJ PAMIĘCI

— Dworus jestem z dziada pradziada — powiada Stanisław Kowalski ze wsi Sobota w województwie skierniewickim. — Dziady i ojca u Stokowskich i Przegalińskich pracowali, a ja sam też na „Kopcu” u Pietraszewskich za traktorystę robię

Południowa pierzeja rynku — z apteką i ośrodkiem zdrowia — wybiega asfaltową drogą — równoległą do Bzury — aż pod starą bramę w wysokim murze, którym niegdyś-śsi właściciele Soboty, panowie na „Kopcu”, odcięli się od plebejskiej wsi.

Mur spina kamienną ramą niesfor-ny i gesty park, którego główna alejka wspina się kręto i wyboiście na szczyt wzgórza, zwieńczonego zgrubną basztą zameczku — siedziby soboc-kich dziedziców. Dalej wzgórze pada stromym stokiem, który roz-plantacja się u dołu szeroko i daleko w rozległe obejście folwarczne gdzie ogromniasta stodoła i długie stal-
nie.

— A ja teraz też na „Kopcu”, u Pietraszewskich robię — powtarza traktorysta Kowalski.

NIE SCHODZI Z KONIA

Jerzy Pietraszewski, inżynier. Wysoki. Smukła sylwetka i żołnierski krok. Podgolona czupryna siwi-
przyprószone, wąs regulowany, kawa

Dalszy ciąg na str. 6



Foto: R. Lucyszyn

Nie ma socjalizmu bez demokracji

Rozmowa z profesorem
ANDRZEJEM BURDĄ

— Encyklopedia powszechna PWN podaje, że zajmuje się pan prawem państwowym i historią doktryn politycznych, wykładając na UMCS od 1950 roku, gdzie pełnił pan ponadto funkcję prorektora, a następnie rektora tej uczelni, aby w 1957 roku zostać powołanym na stanowisko Prokuratora Generalnego PRL. W jakich okolicznościach objął pan tę wysoką funkcję państwową?

— Po październiku 1956.

— No tak, ale szefem Prokuratury Generalnej nie zostaje się wyłącznie z tytułu profesji uniwersyteckiej. Musiał pan tkwić w określonym układzie politycznym...

— Byłem wówczas członkiem PZPR z biografią obejmującą działalność w „Wici” (od 1931 roku), w Komunistycznej Partii Polski (od 1934 roku) i konspiracyjnej „Polsce Ludowej”, która powstała już w 1940 roku. Z tej krakowskiej organizacji razem z Ignacym Fikiem, Mieczysławem Lewińskim i innymi zgłosiłem akces do Polskiej Partii Robotniczej. Przez dwa lata redagowałem podziemną „Trybunę Ludową”. Po wojnie pełniłem funkcje administracyjne, aby ostatecznie przejść do pracy naukowej doktora uzyskałem na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1948 roku.

— Faktycznie, rekomendacje miał pan znakomite. Proszę tylko wyjaśnić dlaczego, jak to się mówi, poświęcił się pan nauce? Czy wyłącznie zdecydowały o tym osobiste pragnienia i predyspozycje?

— Uważano mnie za zwolennika Gomułki i „wyciszono”, kiedy Wiesława wykluczono z życia politycznego za tzw. odchylenia prawicowo-nacjonalistyczne. Od 1949 roku wykładałem tylko w Szkole Partyjnej przy KC PZPR w Warszawie.

— Które słuchaczami byli m.in. Gierek, Kru-
czek i Szydłak?

— Tak. Później powstała z tego Wyższa Szkoła Nauk Społecznych.

Dalszy ciąg na str. 4

Dla większości uczestników tego spotkania sprawy podczas niego poruszane nie były niczym nowym. Od pamiętnego Plenum KŁ PZPR, zatwierdzającego w czerwcu 1974 r. „Program rozwoju kultury w Łodzi do roku 1980”, odbyło się wiele narad, które, im bliżej było finalnego terminu, tym częściej stawały się forami, mającymi usprawiedliwić niewykonanie programu, zwłaszcza w jego części dotyczącej inwestycji.

Wtorkowe, z 13 stycznia, spotkanie aktywów kulturalnego województwa łódzkiego z ministrem kultury i sztuki Józefem Tejchmą, w którym z władz łódzkich wzięli udział m.in. I sekretarz KŁ PZPR Tadeusz Czechowicz, sekretarz KŁ Jan Nosko i prezydent m. Łodzi Józef Niewiadomski, wzbudziło na tym tle nowe nadzieje. Przedstawiciele środowisk twórczych i instytucji upowszechnieniowych jeszcze raz przedstawiły najpilniejsze potrzeby województwa łódzkiego. Mowa więc była o konieczności budowy gmachów dla Muzeum Sztuki i Filharmonii oraz przeprowadzenia niezbędnych inwestycji i prac remontowych w łódzkich teatrach (m.in. budowa zaplecza magazynowego Teatru Wielkiego, kompleksowa modernizacja PTL „Pinokio” i Teatru im. J. Tuwima). Sporo mówiono o dramatycznej sytuacji bibliotek i czy-

wyniesie minimum 0,64 proc. dochodu narodowego (wobec niecałego 0,5 proc. w roku ubiegłym) przy czym w planie rzeczywistym procent ten powinien wynieść 0,9. W latach między r. 1985 a 1990 udział kultury powinien wynieść odpowiednio 2 proc.

Dużym osiągnięciem jest według ministra Tejchmy przełamanie mechanizmu psychologicznego, który powodował, że kiedy w przeszłości trzeba było dokonywać cięć budżetowych, operacji tej dokonywano w pierwszym rzędzie na kulturze.

Jednocześnie jednak, jak wynika z wypowiedzi ministra, dobry klimat dla kultury trzeba nieustannie podtrzymywać, starać się, aby zagroził on we wszystkich środowiskach i na wszystkich szczeblach. Od siebie już dodajmy, że może to być także kwestia presji społecznej, o wywołanie której powinniśmy się starać. Kierunek tej presji powinien być obliczony nie tylko na władze centralne, ale również na te struktury lokalne, które mogą dysponować finansami na kulturę. Chodzi tu zarówno o lokalne władze administracyjne, jak i o władze organizacji społecznych. — Teraz — stwierdził minister Tejchma — sprawa będzie się rozstrzygać w układzie sił w argumentacji, w rozgrywaniu rentowności kultury nie tylko w sferze ekonomicznej, ale przede wszystkim poprzez uświadamianie, iż specyficzna rentowność kultury polega na funkcjach, jakie pełni ona w życiu narodu, funkcjach integracyjnych.

Zmiany w naszym życiu społecznym przyniosły nowe sytuacje. Dotychczasowy patronat związków zawodowych przynosił kulturze ok. 3 mld zł rocznie. Jak będzie dalej — czy wytworzy się tu luka? Trzeba się zastanowić nad modelem polskiego przedsiębiorstwa socjalistycznego. Czy ma być ono wyłącznie „technokratyczne” czy też powinno spełniać również funkcje wychowawcze, kulturalne...? Opracowywany jest obecnie projekt ustawy o przedsiębiorstwach. Jeśli nie będzie on uwzględniał konieczności zajmowania się robotnikami jako człowiekiem, w szerokim tego słowa znaczeniu, jeśli nie będzie uwzględniał spraw kultury, resort zgłosi przeciw niemu stanowczy sprzeciw.

Przechodząc do spraw Łodzi, minister przyznał, że istniejące tu wielkie środowisko kulturalne humanistyczne, działa często w skrajnie złych warunkach. Kompensuje się je większym wkładem energii ale na dłuższą metę takiego stanu rzeczy utrzymywać nie można.

Złożył też minister Tejchma deklarację co do najbliższych naszych inwestycji — budowy gmachów dla Muzeum Sztuki i Filharmonii Łódzkiej, obiecując wprowadzenie jednej z nich do bieżącego planu pięcioletniego. — Rzec nie w tym aby wybierać albo-albo, lecz by zdecydować, która z tych inwestycji powinna wejść do planu jako pierwsza.

Komentując to na gorąco: wydaje mi się iż pierwsza na plac budowy powinna wejść filharmonia; jednocześnie, w trybie pilnym, trzeba by uzupełnić prace projektowe gmachu Muzeum Sztuki, co zajmie i tak nie małego czasu. Taką kolejność wydaje mi się w świetle posiadanych informacji najsensowniejszą.

Za jedną z ważniejszych spraw uważa też minister poszerzenie uprawnień i możliwości Wydawnictwa Łódzkiego, które jego zdaniem jest niedoceniane na mapie kulturalnej Polski.

Wtorkowe spotkanie przyniosło nadzieję, na rychłe rozegranie drugiego aktu sprawy określonej jako „Program rozwoju kultury w województwie łódzkim”.

J. K.

W OCZEKIWANIU NA DRUGI AKT

telnictwa, zarysowano również drastyczny rozdźwięk między potrzebami środowisk twórczych (zwłaszcza literackiego) i naukowych, a możliwościami Wydawnictwa Łódzkiego.

Poruszono wiele problemów ogólniejszej natury, związanych zwłaszcza z upowszechnieniem kultury i sztuki w środowisku robotniczym. Na tym tle niepokoi m.in. sytuacja niektórych domów kultury, finansowanych dotąd przez zakłady pracy i związki zawodowe, a także status amatorskiego ruchu artystycznego, który nie może się przecież rozwijać bez mecenasów.

Zaledwie tu sygnalizujemy część z wątków dyskusji, wątków dobrze nam znanych, a przedstawionych podczas spotkania w sposób, który, jak się zdaje, przekonał ministra Tejchmę do konieczności pilnego rozwiązywania naszych problemów. Elementem wspomagającym nasze usiłowania wzbogacenia m.in. bazy materialnej kultury w Łodzi jest też nowa sytuacja jaka wytworzyła się w ruchu związkowym twórców; „Solidarność” stawia sprawy kultury mocno i ostro.

W swym wystąpieniu minister Józef Tejchma stwierdził, iż za podstawowe zadanie swoje i resortu uważa działania, które kulturze zapewnią szersze możliwości inwestycyjne. Wiąże się to z koniecznością sukcesywnego zwiększania budżetu resortu. Już obecnie w planie — przewidywanym na rok 1981 zakłada się, iż budżet ten

„SOLIDARNE CZEKANIE” NA UL

W niedzielę 11 bm. o piątej nad ranem podpisane zostało porozumienie między Komisją Studencką a władzami Uniwersytetu Łódzkiego w sprawie 56-punktowej listy postulatów, opracowanych przez specjalną komisję złożoną z przedstawicieli studentów wszystkich wydziałów UL.

Tym samym przerwana została akcja „Solidarnego Czekania”, którą zainicjowano 6 bm. na Wydz. Prawa i Administracji, gdzie zakończono ją już następnego dnia wieczorem podpisaniem „Protokołu Uzgodnień” między władzami uczelni i wydziału, a Studenckim Komitetem Jedności WPIA. Dokument ten dotyczył jednak przede wszystkim wewnętrznych spraw wydziału i nie wyczerpał po-

stulatów dotyczących całej uczelni. Dlatego też w środę 7 bm. postanowiono kontynuować akcję „Solidarnego Czekania”. Głównym miejscem protestu stał się gmach filologii polskiej i angielskiej, ale objął on również inne wydziały. W akcji uczestniczyli studenci wszystkich kierunków, którzy przez 4 dni i 4 noce nie opuszczali budynku przy al. Kościuszki 65 (bez przerwania odbywających się tu zajęć dydaktycznych).

W wyniku akcji protestacyjnej podpisano porozumienie, w którym określony został tryb i termin załatwienia wielu palących postulatów środowiska studenckiego. W innych sprawach — wykraczających poza kompetencje władz uczelni — mogły one jedynie ograniczyć się do wyrażenia swego poparcia.

Sprawy te, znajdujące się zarówno na 56-punktowej liście postulatów, jak i na osobnej liście tzw. postulatów ogólnokrajowych, muszą — zdaniem studentów — stać się tematem odrębnych rozmów z przedstawicielami władz nadrzędnych, w tym Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wzwyższego i Techniki. Do czasu takiego spotkania (studenci proponują termin 20 bm.) na Uniwersytecie Łód-

kim trwać będzie „gotowość protestacyjna”, przy czym zajęcia dydaktyczne odbywać się będą bez zakłóceń. Chodzi jedynie o zwrócenie uwagi publicznej na pilną potrzebę kontynuowania rozmów w wielu nie załatwionych dotąd sprawach, które m.in. muszą się znaleźć w nowej Ustawie o Szkolnictwie Wzwyższym.

Wkrótce opublikujemy obszerną relację z akcji „Solidarnego Czekania” i przebiegu rozmów w UL. (T. SOL.)

TEATR NOWY WYJAŚNIA

W związku z artykułem p. Andrzeja S. Warzechy pt. „Reżyser ma pomysły” (Odgłosy nr 10 z 1980 r.) wyjaśniam, że przedstawienie Teatru Nowego pt. „Szansa” w reżyserii Andrzeja Wanta oparte jest na tekście wydrukowanym w Dialogu nr 1 z 1972 r. oraz na jednym z trzech wariantów zakończenia sztuki przedstawionych teatrowi przez p. Ewę Otwinowską.

Kierownik Literacki Teatru Nowego
KRYSZYNA BOBROWSKA

IŚĆ ALBO NIE IŚĆ...

W ubiegłą sobotę, 10 stycznia, wielu rodaków przeżywało ten sam dyalemat: iść, czy nie iść do pracy. Uznał sobotę za wolną, zgodnie z decyzjami związków zawodowych — oparty mi o umowy społeczne, czy też uznał sobotę za dzień pracy, zgodnie z decyzjami rządowymi, podjętymi także w oparciu o umowy społeczne.

W niedzielę i w poniedziałek i jedna i druga strona — związki zawodowe i rząd zaczęły liczyć to, co mają na swych szalach. Zaczęto liczyć ludzi. Jedni poszli, inni nie poszli do pracy. Zaczęto więc liczyć ludzi, aby się dowiedzieć, kto kogo Rząd — związki zawodowe, czy związki zawodowe — rząd.

Dla mniejszej zacietrzewionych rychło się okazało, że prosta arytmetyka, jeden plus jeden, plus jeden, nie określi jednak wyniku, że trzeba by zastosować bardziej skomplikowane działania. Na obu bowiem szalach znalazły się, wśród prawdziwych, także fałszywe odważniki.

Wielu ludzi poszło do pracy nie dlatego, że uznano za słuszną decyzję rządu, lecz dlatego, że odrabiali wygospodarowany wolny dzień z 2 stycznia, lub też zdecydowało przenieść wolną sobotę z 31 na 10 stycznia. Tych co „odrabiali”, trzeba by zaliczyć do tych, którzy uznali 10 stycznia za dzień wolny (bo tylko o dzień wolny od pracy można cokolwiek odrabiać). Tych, co „przenieśli”, trzeba zaliczyć do tych, którzy akceptują decyzję o 2 wolnych sobotach w miesiącu (w przeciwnym razie nie musieliby przenosić „wolności” z jednej soboty na drugą).

Z kolei wielu ludzi nie poszło do pracy nie dlatego, iż by uznawali za słuszną decyzję ich związku zawodowego, lecz z tego powodu, że w kierunku tej właśnie szali skterował ich nacisk środowiska.

Tak więc wynik, jakim się nie okaże, nie powinien satysfakcjonować żadnej ze stron. Przede wszystkim zaś nie powinien satysfakcjonować społeczeństwa, stanowiącego ramiona tej wagi. Nie powinien, gdyż sam spór jest w gruncie rzeczy kazuistyczny.

Niedobrze jest, kiedy decyzje, jedne z ważniejszych, podejmowane są w rezultacie przeprowadzania tamtych-tek interpretacyjnych, jeśli za argu-

menty ostateczne liczą się nie fakty, lecz słowa, a na szale, aby je ostatecznie przeważać, kładzie się aurytety — w tym wypadku na jedną zważkę zawodowych — na drugą — rządu. Z reguły z odważania tego rodzaju argumentów nigdy nie dobrego nie wynika. To, co sklejone, zaczyna pod takimi obciążeniami pękać. Po jednej i po drugiej stronie. A zwycięstwa bywają pyrrusowe, bowiem pytanie, co jest lepsze — silne związki zawodowe, czy silny rząd, przypomina inne — lepiej jest mieć siwą lewą nogę, czy też prawą.

Najpijniej to ja wolalbym mieć obie strony mądre, a potem silne. W przeciwnym wypadku może mi grozić, że jeśli w ogóle będę mógł chodzić, to będę kuleć na obie nogi!

Jak na razie spór nie został rozstrzygnięty. I chwala Bogu. One strony mają jeszcze do końca miesiąca, do dnia wypłat, czas do rozstrzygnięcia czy w styczniu mieliśmy dwie, czy też cztery wolne soboty. Nie trzeba się bowiem okłamywać — rozstrzygnąć pieniądze, nie wyłączenie o czas wolny tu chodzi, lecz i o nie. Jeśli nie wszystkim, to wielu pracownikom. Znam jedną firmę, której zarząd domaga się wszystkich czterech wolnych sobót w miesiącu, jednocześnie zobowiązując się, że we wszystkie będzie pracować... Po to, aby za prace w wolne soboty otrzymać wypłatę extra.

Tak więc sama istota konfliktu nie jest ani prosta, ani klerowna, ani czysta, przeciwnie, bardzo zagmatwana. Jedno tylko wydaje się być w tym wszystkim pewne: niedobrze, że wobec wątpliwości interpretacyjnych, i tym razem nie zostały przeprowadzone rzeczowe konsultacje społeczne, i że strony, zanim zaczęły obciążać szale wagi, nie zasiadyły na konferencyjnym stolem, aby wywołać same racje.

Niedobrze, że doszło do konfrontacji niezależnie od tego, jaki będzie jej wynik. Niedobrze, gdyż według starego, a mądrego polskiego przysłowia — gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. Swoją drogą wolalbym, aby przystawie brzmiało: tam trzeci może skorzystać...

JERZY KATARASINSKI



Tyle tu spraw, a ja mam pięciodniowy tydzień...

(„PUNCH”)

KRONIKA KULTURALNA

NA SCENIE Teatru Wielkiego w Łodzi gościmy bułgarskich artystów. W 160 przedstawieniu „Aidy” Giuseppe Verdiego gościnnie wystąpił solista Państwowej Opery w Warnie. Partię Aidy śpiewała Mari Kirkowa, młoda śpiewaczka, laureatka wielu nagród krajowych i zagranicznych, uczennica wybitnego amerykańskiego tenora, Jamesa Kinga. W roli Amneris widzieliśmy Alis Bagdasarian. Te artystyczne mieliśmy już okazję oglądać w Łodzi przed trzema laty śpiewała w Teatrze Wielkim partię Carmen. Przedstawieniem „Aidy” dyrygował Dragomir Nenow.

Obok gości z Bułgarii w przedstawieniu wystąpił także nasz łódzki solista: Maria Szczucka-Kudzińska. Włodzimierz Malczewski, Stanisław Michałowski, Jerzy Ryzniczewski, Zygmunt Zajac i Włodzimierz Zalewski.

17 STYCZNIA na Dużej Scenie Teatru im. Stefana Jaracza odbędzie się premiera „Przeprowadzki” Davida Williamsona. Przedstawienie reżyseruje Feliks Falk, scenografię opracowała Teresa Smus-Barska. W spektaklu grają: Bożena Rozalska, Zofia Tomaszewska, Paweł Kruk, Bogusław Sochnacki i Jan Peszek. Fabuła sztuki opiera się na absurdalnej sytuacji, jaka zaistniała pomiędzy trzema mężczyznami: dwoma policjantami i ich ofiarą. Tragiczny koniec tego spotkania jest efektem międzyludzkiej stosunków opartych na przemocy i brutalności, wynikającej z ograniczonego i prymitywnego spojrzenia na człowieka, jak i zbyt nisko nadużyta władzy, która działałać w imię tzw. sprawiedliwości nie rezygnuje z najbardziej

brutalnych i sadystycznych metod. Sztuka przeznaczona jest dla widzów od lat 18.

9 STYCZNIA na Dużej Scenie Teatru im. Stefana Jaracza odbyła się premiera barwnego, rozśpiewanego i roztańczonego widowiska dla dzieci pt. „Krasnoludki, krasnoludki”, jego autorem jest Tadeusz Kijonka. Spektakl reżyserował Włodzimierz Nurkowski.

W OSTATNIM CZASIE w Łodzi mogliśmy obejrzeć kilka monodramów.

W Teatrze Estrady „Faul” wg powieści Andrzeja Makowieckiego pt. „Kwadrans śpiącej królowej”. Swego czasu w „Odgłosach” drukowaliśmy fragmenty tej powieści, która na potrzeby monodramu zaadaptowała Magdalena Mikulim. Spektakl reżyserował Paweł Kruk, muzycznie opracował Zbigniew Wojciechowski, światło i dźwięki — Ryszard Nowakowski. Wykonawcą monodramu jest aktor Teatru Powszechnego, Jerzy Korczyński. W Klubie Nauczyciela w kolej-

nym „Teatroskopie”, w trzynastym wieczornym spotkaniu z teatrem przedstawiony został monodram „Cudzoziemka” Marli Kuncewiczowej. Był to program autorski Anny Lutosławskiej, aktorki Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie. Jest ona autorką scenariusza, reżyseruje program i wykonuje go. Muzykę opracował Adam Walaciński. Towarzystwo Przyjaciół Łodzi i Muzeum Historii Miasta Łodzi zaprezentowały swoim członkom i sympatykom monodram „Piękny i nieczuły” Jeana Cocteau w wykonaniu Haliny Sobolewskiej — aktorki Teatru Nowego.

JUŻ 75 LAT działa nauczycielska organizacja związkowa. Przed kilku dniami w Klubie Nauczyciela odbyła się uroczysta sesja naukowa poświęcona tej rocznicy, zorganizowana przez Oddział Zarządu Głównego ZNP w Łodzi.

Otwarcia obrad dokonał kierownik Oddziału ZG ZNP, Janusz Leszczyński. Na program sesji złożyły się referaty prof. dr E. Podgórskiej, doc.

dr M. Bandurki, mgr B. Cegielskiego i doc. dr R. Rusina. W sesji uczestniczyli: wiceprezydent miasta Łodzi — Zbigniew Politi i kurator oświaty i wychowania — Tadeusz Podwysocki.

W NIEBOROWIE koło Łowicza odnawiany jest zespół pałacowo-parkowy. Odnawiana jest najważniejsza budowla — pałac w stylu barokowym, wzniesiony w XVII wieku przez słynnego architekta Tytusa z Gamera. Dobięga końca remont manufaktury małejki z przełomu XIX i XX wieku. W przyszłym roku zabytkowa manufaktura po 67 latach przerwy wznowi działalność oraz zostanie odrestaurowana zwiędziającym. W manufakturze przywrócić się będzie ceteris paribus o wzornictwo z poprzednich epok.

JUŻ OD KILKU dni w kinie „Wisła” wyświetlany jest film pt. „Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce”. Film jest relacją z papekiej pielgrzymki po naszym kraju. Zrealizowany został w war-

szawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych przez Mirosława Chrzanoskiego i Janusza Kedzierzawskiego.

KLUB TWÓRCÓW KULTURY ZK ZSMP „Forum” w Krakowie oraz Młodzieżowe Centrum Kultury ogłaszają IV konkurs plastyczny pod hasłem „Postawy”. Celem konkursu jest ukazanie twórczości plastycznej młodych artystów i uświadomienie ich postaw twórczych, jak również próba uchwycenia aktualnych tendencji artystycznych i przedstawienie szerokiego obrazu twórczości młodego pokolenia.

Wystawa — konkurs ma charakter otwarty, do udziału w wystawie zapraszani są artyści urodzeni do 1 stycznia 1945 roku. Na wystawie przyjmowane będą prace malarskie, rzeźbiarskie i graficzne, jak również dokumentacja działań plastycznych oraz koncepcje i projekty w Hości do 3 sztuk.

Bliższych informacji na temat konkursu udziela Galeria „emceka”, Kraków, ul. Mikołajewska 2.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (1 z-ca redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (2-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDEICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDEIAK, RYSZARD LUCYNSZYN (fotoreporter) BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGÓRZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GIANC, JERZY WILMANSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSZYNA SARDECKA.

Dalszy ciąg ze str. 1

danie wywołać dyskusję i chcę stanowczo podkreślić, że wolę swą w tym względzie spełnić. Byliśmy przeciwni anarchii, powoływaniu pozastatutowych struktur, wysłaliśmy z materiałem w pionie do Instancji i poizom informacyjnie do kilku organizacji partyjnych..."

Eugeniusz Szyr przyjechał do Łodzi z własnej inicjatywy, jako członek Komisji Zjazdowej, aby zapoznać się z poglądami i tezami żywo w Łodzi dyskutowanymi. Marek Bartosik (I sekretarz KU PZPR w Politechnice Łódzkiej) stwierdził, że ponieważ na ogół lubi wiedzieć z kim ma do czynienia, zajrzał do „Encyklopedii powszechnej PWN”, gdzie jednak hasła „Eugeniusz Szyr” nie znalazł. Znalazł je dopiero w „Małej encyklopedii PWN”, ale też się z tego wiele nie dowiedział. Zapytał więc o krótki życiorys. Oto, co powiedział o sobie Eugeniusz Szyr:

— Jeśli chodzi o moją biografię, mam za sobą 50 lat uczestnictwa w ruchu robotniczym. Nie sądzę, aby to był powód do wstydu. Byłem w KPP. Brałem udział w walkach w Hiszpanii. Byłem komisarzem batalionu, komisarzem brygady. Później byłem w Związku Patriotów Polskich w ZSRR. Byłem żołnierzem Wojska Polskiego. Pełnomocnikiem rządu polskiego przy dowództwie I i IV Ukraińskiego Frontu Armii Radzieckiej. Byłem później na Śląsku przez krótki czas sekretarzem komitetu PPR. W Warszawie byłem dyrektorem departamentu ekonomicznego, a zaraz potem wiceministrem przemysłu, a później wiceministrem przemysłu i handlu. Wtedy było tylko jedno ministerstwo przemysłu i handlu, które obejmowało cały przemysł, handel wewnętrzny i zagraniczny. Przez wiele lat byłem zastępcą przewodniczącego Komisji Planowania, przez dwa lata przewodniczącym. Byłem sekretarzem Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów. Do 1972 roku byłem wicepremierem. Przez kilka lat byłem przewodniczącym Komitetu Nauki i Techniki. Byłem też przewodniczącym Rady Gospodarki Materialowej. Od 1976 roku jestem ministrem gospodarki materiałowej. Od 1948 roku jestem członkiem Komitetu Centralnego PZPR.

Na IV Zjeździe partii w czerwcu 1964 roku Eugeniusz Szyr został wybrany członkiem Biura Politycznego KC.

— Towarzyszy interesuje — mówił dalej Eugeniusz Szyr — dlaczego ja tu występuję jako współautor odnośny. Obserwuję przemiany zachodzące w partii nie tylko dziś, ale obserwowałem je również w Komunistycznej Partii Polski. Mam liczne i bogate spostrzeżenia dotyczące różnych okresów naszej historii. Przeżyłem „zakrety” roku 1956, 1970, 1976. Dlatego wówczas zmiany następowały tylko w pierwszym okresie. Były to okresy krótkotrwałe. Dlaczego tak się dzieło? Bo zmieniało się tylko kierownictwo, które obdarzano nowym zaufaniem. Nie zmieniali się natomiast metody i formy pracy Biura Politycznego, metody i formy pracy całej partii. Zaufanie, jakim obdarzano nowe kierownictwo partii w 1956 i 1970 roku, blokowało możliwość dokonania właściwych zmian, które były konieczne. To znaczy blokowało powrót do normalnego działania partii zgodnie z normami leninowskimi, o których już tyle mówiło, że stało się to utartym frazesem. Dzisiaj jest pora, żeby inaczej czytać Lenina, inaczej rozumieć sytuację, jaką mamy.

Jeżeli — kontynuował E. Szyr — czytamy dzisiaj dyskusję na X Zjeździe KP Bolszewików, to przede wszystkim zwracamy uwagę na ostrą dyskusję, jaka toczyła się między robotniczą opozycją a Leninem. Widzimy tam, jak śmiało występowało przeciw Leninowi i jak ostro stawiał sprawy Lenin i jaki był konkretny w swoim rozumowaniu. Lenin nie mówił, że opozycja robotnicza jest zła. Mówił, że jeśli chodzi o walkę z państwowym biurokracizmem, to jest słuszna i reprezentuje zdrowy instynkt klasy robotniczej. Ale, jeśli chodzi o anarchię, to jest zła, bo reprezentuje anarchiczne tendencje klasy robotniczej. I nie owijał tego w bawełnę. Jego walka z opozycją robotniczą nie oznaczała wyroku śmierci na te opozycje, na jej przedstawicieli. Wtedy w partii dyskutowało się ostro, zażarcie i z całej dyskusji wyciągano właściwe wnioski.

Walki frakcyjne. Występowały one zawsze. Nigdy tak nie było, żeby nie było jakiejś frakcji. Tak było również w KPP. Bywały to najczęściej frakcje ultralewicowe. Na przykład „Grzechisiel”. Nazwa wzięła się od Władysława Kowalskiego — Grzech. Stworzył on ultralewicową, pól anarchizującą frakcję i partia się z nim rozstała. Albo w 1934 albo w 1935 roku był w Warszawie taki robotnik zwany Piętkiem, nazwiska nie pamiętam. Na ile panującego wówczas bezrobocia stworzył on platformę ultralewicową, terrorystyczną. Ten ruch nazwano „Piotrkowszczyzną”.

W partii, jak w każdym ruchu politycznym, powstają takie sytuacje, których nikt nie dekretuje, kiedy ludzie intensywnie myślą, kiedy szukają różnych dróg wyjścia, postępowania. Często nie dochodzą do właściwych wniosków, do właściwego końca swego procesu myślowego i to nie

powód, aby dyskredytować to, jak myślą. Jeżeli nie działają w sposób zorganizowany, jeżeli nie działają w celu rozbicia partii, to nie ma w tym żadnego problemu. Ludzie muszą mieć warunki, aby powiedzieć, co myślą i jeśli ich myślenie schodzi na manowce, jeśli nie tak myślą, to trzeba z nimi dyskutować, trzeba im tłumaczyć, na czym polegają ich błędy, trzeba ich myśleniu przeciwstawić argumenty, które by do nich przemówiły.

Z ZAGAJENIA Krzysztofa Pawlaka: „Obecnie walka toczy się o nowe oblicze władzy w społeczeństwie budującym socjalizm. Walka ta została rozpoczęta w płaszczyźnie odnowy ruchu związkowego, natomiast jej końcowy rozstrzygnięcie akord musi zdecydowanie zabrzmieć w samej partii. Walka, która trwa w partii toczy się o programowe oblicze IX Zjazdu. Naszym przeciwnikiem w łonie samej partii jest nasza słabość myślenia i działania, którą bezwzględnie musimy pokonać. Szczególnie dramaty rozgrywają się w łonie samej partii. Ludzie czują się oszukani podwójnie, jako obywatele i członkowie partii. Na co dzień towarzyszy im nadal poczucie nieufności, pesymizmu i zwątpienia. Ten stan podsycają niemrawe działania, zaskakiwanie „pseudopropozycjami”, których nie szczeni nam obecnie rząd”.

Nie więc dziwnego, że najczęściej dyskutowano o sprawach partii i przygotowań do IX Zjazdu partii. Eugeniuszowi Szyrowi zadano szereg pytań. Nie zawsze zgadzano się z odpowiedziami, jakich na te pytania udzielił. Polemizowano, przeciwstawiano własne poglądy i propozycje. Dyskusja była żywa, ostra. Było to starcie doświadczenia z niecierpliwością. Starcie, w którym obie strony miały ten sam cel: dobro partii, zapewnienie jej rzeczywistej kierowniczej roli, odzyskanie przez partię autorytetu i zaufania, dobro całego społeczeństwa, troska o to, aby partia przez swoją opieszałość w działaniu nie zaprzepściła szansy, jaka przed nią stoi, szansy wyprowadzenia państwa z kryzysu. Wszyscy dyskutujący wychodzili z takiego samego założenia, że tylko partia może właściwie pokierować procesem socjalistycznej odnowy, że tylko rozwój demokracji w partii może stać się gwarancją rozwoju demokracji w całym społeczeństwie.

Z zagajenia Krzysztofa Pawlaka: „Trzeba poddać krytyce i radykalnie zmienić dotychczasowy sposób dochodzenia przez partię do swojego programu. Był on dotąd generalnie opracowywany przez anonimowe grupy pracowników KC i w zasadzie, mimo szerokiej niekiedy dyskusji nie podlegał istotniejszym korekturam. Jeśli IX Zjazd ma wygrać klasa robotnicza, my wszyscy, to KC nie może mieć monopolu na wypracowanie programu. Program ten musi być stworzony w ogólnospołecznej dyskusji także bezpartyjnych”.

Eugeniusz Szyr: — Pytacie, czy jest przewidziane przedstawienie materiałów przedzjazdowych. Jest przewidziane. Przewiduje się publikację kolejnych biuletynów, które informowałyby o pracy Komisji Zjazdowej. Przewiduje się publikację raportu o stanie gospodarki. Raport ten jest już na ukończeniu i w najbliższym czasie powinien się ukazać drukiem. Przewiduje się również publikację założeń do reformy gospodarczej.

Komisja Zjazdowa pracuje w 8 zespołach, a ja biorę udział w pracach zespołu ekonomicznego. Zespół ekonomiczny przedyskutował dwa warianty swoich tez, a na najbliższym posiedzeniu będzie dyskutował trzeci wariant. Każdy zespół przygotowuje swój tekst w oparciu o liczne wnioski, informacje, propozycje, jakie napływają z całego kraju. W wytycznych do prac zespołów wzięto też pod uwagę alternatywne przedstawienie pewnych propozycji. I tak staramy się postępować.

Mówicie, że Komitet Centralny nie może mieć monopolu na opracowanie programu. To jest słuszne. Z uchwał VI i VII Plenum KC PZPR wynika, że program powstawać powinien z rozlicznych materiałów, wniosków, uchwał, postulatów, które napływają z wszystkich organizacji partyjnych. Wykorzystuje się też pewne formy konsultacji, jakie powstały w kontaktach organizacji partyjnych pokrewnych środowisk, ażeby w szerszym gronie przedyskutować poszczególne projekty uchwał. Tak więc powstający program powinien opierać się na wykorzystaniu wszystkich głosów i propozycji, chociaż wśród nich nie brak sprzecznych. Nigdy jednak nie należy zakładać, że jak jest otwarta dyskusja, to wszyscy będą tego samego zdania. Musi więc być pewna granica tolerancji i pewna granica kompromisu.

Choćby przykład postulatów spłaszczenia plac. Jak daleko powinno się sprzącać spłaszczenie plac? Występują tu sprzeczne interesy wysoko płatnych robotników i wysoko płatnych pracowników umysłowych i nisko zarabiających robotników i pracowników umysłowych. Mamy więc sprzeczne wnioski, jedne mierzące do tego, aby ograniczyć relacje najwyższej płacy do najniższej jak 5,5 do 1, inne, aby określić to, jak 6 do 1, a inni, aby

od tego w ogóle uciec. W „Przeglądzie Technicznym” ukazał się artykuł występujący w ogóle przeciw spłaszczeniu plac. Na Węgrzech swego czasu dokonano podobnej operacji, ale ostatecznie dały się znów do zróżnicowania plac. Wprowadza się tam podwyżkę 8 procent dla najniższych zarabiających i 25 procent dla najwyższych zarabiających.

Co ja o tym sądzę? Uważam, że należy wprowadzić takie płace, aby najwyższe płace były w relacji do średnich plac, jak 3 do 1. Ale to jest tylko jeden przykład. A takich spraw jest wiele. To jest sprawa kartek na mięso, to jest sprawa wólnych sobót, to jest sprawa bilansu materiałów i surowców i wiele, wiele innych. Na tym jednym przykładzie widać wszak-

DOŚWIADCZENIE I NIECIERPLIWOŚĆ

że przed jakimi sprzecznymi tendencjami stajemy w Komisji Zjazdowej. Nie możemy z tej wielości poglądów wybrać wielu. Musimy wybrać jeden. I to jest nowa sytuacja w praktyce partii. Do tej pory nie było takich sytuacji, nie było potrzeby stawiania cytuła tysiącom propozycji i wniosków i konieczności wybrania średniej, która byłaby najbardziej odpowiednia dla kontaktów partii z klasą robotniczą.

Inna sprawa. Bardzo zresztą ważna. Wybory delegatów na Zjazd. W tej sprawie również napłynęło do Komisji Zjazdowej dużo wniosków. Jedną jest wspólna: należy zapewnić demokratyczny charakter wyborów i maksymalnie możliwy bezpośredni wybór delegatów na Zjazd. To samo dotyczy zgłaszania kandydatów, to znaczy takiej ilości kandydatów, aby mógł być swobodny ich wybór. Są takie propozycje, aby delegaci reprezentowali siebie, aby mówili od siebie, aby można było wiedzieć, jak później będą pracowali w organizacji. Są też propozycje, aby zobowiązać delegatów do reprezentowania organizacji, która ich wybrała. Jak z tego widać jest sporo bardzo różnorodnego materiału, bardzo bogatego, z którego trzeba wybrać punkty wspólne. I nad tym pracują zespoły Komisji Zjazdowej.

DWA PUNKTY WIDZENIA ujawniły się w dyskusji. Doświadczenie i możliwość widzenia spraw w skali ogólnonarodowej i widzenie ich jednostkowe, ale poparte troską o całość naszego narodu, o jego przyszłość. Mówił o tym między innymi Mieczysław Kwaśniewski (mistrz z „Foniki”). Przypomniał, że on patrzy na to, co się dzieje ze swojego miejsca pracy i być może dlatego widzi wszystko inaczej. Ale tak jak on patrzy tysiące ludzi w Polsce. Chcą, aby hasła, jakie się do nich kierują były proste, aby mówiono do nich językiem prostym, co wcale nie znaczy, że treści przekazywane w taki sposób muszą być przez to uboższe. I postulat ten wcale nie przeczy temu, że — jak to określił Andrzej Gorzech (Politechnika Łódzka) — klasa robotnicza dziś coraz częściej pracuje głową zamiast tylko rękoma. To widzenie spraw naszych codziennych „z dołu” często nie spotyka się z widzeniem ich „z góry”. Argumenty, jakimi w dyskusji ze społeczeństwem posługujemy się „z góry”, nie trafiają do przekonania temu społeczeństwu. I nie zawsze dlatego, że „góra” nie dobiera najważniejszych argumentów, ale często dlatego, że „dół” zawładł się na decyzjach „z góry”, że „góra” zbyt często te decyzje zmienia, wycofuje się z tego, co wydaje się pewne, a przez to nie zyskuje zaufania społecznego, bez którego nigdzie nie można skutecznie rządzić i kierować.

Odnosi się to przede wszystkim do polityki rządu. Mówi się dziś, że modnym stało się krytykowanie władzy. Nie jest to żadna moda. Jest to po prostu wynik rządowego niezdecydowania. Ludzie chcą mieć zaufanie do władzy, ale też chcą, aby władza była ich o zdanie. Z goryczą mówi się o tym, że formuła: „partia kieruje a rząd rządzi” zamieniono na inną: „rząd źle rządzi a partia się z tego tłumaczy”. Wiesław Walczak (I sekretarz KZ PZPR w „Polmo”) mówił o tym, jak nieprzemysłane decyzje rządu na pracę organizacji partyjnej w fabryce. Członkowie partii nie uchylają się przed odpowiedzialnością, chcą ją brać na siebie, ale żeby tak mogło być, trzeba, aby mogli w tych decyzjach uczestniczyć.

— Pytacie nas — powiedział Wiesław Walczak — czego oczekujemy, jakie decyzje są w naszym interesie. Ludziom trzeba mówić o tym, co się chce robić. Ludzi trzeba pytać o zdanie. Współczesna klasa robotnicza jest wykształcona i umie wyrobić sobie własny pogląd na to, co się w kraju dzieje. Nie można dziś rządzić nie licząc się z poglądami klasy robotni-

czej. Jesteśmy gotowi zaciągnąć pasa, jeśli nam się przekonywająco wytłumaczy, dlaczego mamy tak zrobić i jeśli nam się pokaże przy tym perspektywę, kiedy wyjdziemy z kryzysu i jak.

Marek Bartosik (I sekretarz KU PZPR w PL) wyliczył natomiast sprawy ciągle jeszcze nie załatwione: nadal brak ustawy o szkolnictwie wyższym, o związkach zawodowych, o cenzurze, do końca nie rozwiązano sprawy wólnych sobót. A Marek Adamiec (Politechnika Łódzka) przypomniał, że po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku Polska słygnęła z tego, że szybko opracowała swoje prawo dowoźtwo. Dlatego dziś tego nie można zrobić.

Różne jest też spojrzenie na odno-

wę i na tych, którzy udział w tej odnowie deklarują. Mówił o tym między innymi Tadeusz Nowacki („Fonika”):

— Dziś niby wszyscy chcą tego samego: odnowy. Nikt nie jest przeciw. No to wozytajmy się uważnie, wsluchujmy się czujnie w tembr głosu i logikę wywodów. I to nie sięgając w odległą przeszłość, ale śledząc rwały potok zdarzeń dzisiejszych, gdzie prawie już wszystkie opakowania noszą etykietkę „odnowa”. Zastanówmy się, na czym to odnowa ma polegać i jak daleko w chwili obecnej jest posunięta? Odpowiedź PZPR, to nadać jej oblicze konsekwentnie robotnicze. Uczynić ją narzędziem klasy robotniczej, narzędziem przemian socjalistycznych. Powinna ona stać się partią robotniczą nie tylko z nazwy.

Powszechnie w partii jest dyskutowany problem aparatu partyjnego, jego liczebności, nadzędności czy podrzędności wobec ciał wybieralnych. Jego składu osobowego. Spotkałem się i z takim zdaniem, że stawianie wymagania, aby pracownicy aparatu partyjnego legitymowali się wyższym wykształceniem, praktycznie odcieło możliwość dopływu robotników do aparatu partyjnego. A przecież są wśród nich ludzie, którzy mają autentyczne zaufanie innych, umiejętność działania wśród ludzi, rozumieją ich potrzeby, potrafią dyskutować, przekonywać, walczyć o swoje poglądy. Ci ludzie powinni też się znaleźć w aparacie partyjnym obok innych, obok ludzi z wyższym wykształceniem, obok specjalistów.

Eugeniusz Szyr: — Jest prawdą, że etatowy aparat partyjny powinien być z jednej strony zmniejszony, a z drugiej strony częściowo odnowiony. Szczególnie chodzi o delegowanie ludzi do etatowego aparatu partyjnego. To znaczy, aby mogli wracać z powrotem na miejsce, z którego przyszedli do pracy w aparacie partyjnym. A nie, żeby to była droga do wysokich stanowisk. Naturalnie mogą być wyjątki, ale chodzi o stworzenie reguły.

Rola ciał społecznych przy komitetach partyjnych, wojewódzkich, dzielnicowych i centralnym. Faktycznie nie nie stało na przeszkodzie, aby istniały takie komisje. To by dawalo możliwość działania różnym towarzyszom z różnych stanowisk, mających doświadczenie i samodzielność poglądów. Także i starym komunistom odsuniętym w ostatek dziesięciolecia. Mogliby oni w takich komisjach dzielić się i spożytkować swoje doświadczenie i wiedzę. Jest to bardzo ważne. Jeśli to będą ciała stałe, to będą one miały inny charakter i będą mogły wspólnie z aparatem etatowym przygotowywać różne działania instancji partyjnych. Takie postulaty zostały spisane i przez Komisję Zjazdową skierowane do realizacji. Sądzę, że to powinno się też znaleźć w materiałach przedzjazdowych.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ POLITYKÓW była kolejnym tematem, który wywołał ożywioną dyskusję. Mieczysław Kwaśniewski (mistrz z „Foniki”) powiedział wręcz że „w podręcznikach historii można znaleźć coś o konstytucji burżuazyjnej Polski, która prezydenta czyniła odpowiedzialnym przed Bogiem i Historią. Przed kim odpowiada nasza władza? Komuniści na ogół w Boga nie wierzą, a historia u nas zmienia się od plenum do plenum”. Marek Adamiec ironizował, że odpowiedzialnymi za szkody wyrządzone w PRL nie są chyba krasnoludki, bo on w krasnoludki nie wierzy. Marek Bartosik powiedział, że u nas nie wyciąga się żadnych konsekwencji wobec ludzi nieudolnych, chyba że w bardzo skrajnych przypadkach, na ogół obowiązuje nadal „karuzela kadrowa”, czyli przesuwa się ich na inne stanowiska. Bronisław Piłnicki (robotnik z „Foniki”) żądał, aby tych którzy zawinili wobec narodu, skazując go na przeżywanie obecnie trudności, nara-

żając na niepowetowane straty, nie tylko pozbawić legitymacji partyjnej, partyjnych stanowisk, ale również odebrać im odznaczenia państwowe, a przede wszystkim order „Budowniczych Polski Ludowej”. Jego zdaniem znaczną winę za kształtowanie kultu Edwarda Gierka ponosi między innymi Zdzisław Grudzień i powinien za to ponieść odpowiedzialność. Padło też pytanie, czy odpowiedzialność za to, co się działo w Polsce poniosą jedynie Kazimierz Tyrański oraz Maciej Szczepański?

Eugeniusz Szyr przypomniał, że pewne decyzje podjęło już VI Plenum KC PZPR. Powiedział też:

— W kraju rozpatruje się dużo spraw kryminalnych, ale nie są one tak popularne jak sprawa Kazimierza Tyrańskiego, czy Macieja Szczepańskiego. Są to sprawy o defraudacje, korupcje i inne przestępstwa. NIK powołał dziesiątki zespołów, które badają różne sprawy. Reaguje się na wszystkie sygnały. Jest wśród nich sporo anonimów. Jest to ciągle do wodom braku zaufania do władzy, o bawą przed ewentualnymi represjami. Sprawy te badają też inne jednostki kontroli.

Jeśli natomiast chodzi o sprawy polityków, to zostały one już przesądzone przez uchwały VI Plenum KC partii, a niektóre — jak choćby sprawa byłego premiera — są w toku załatwiania. Dla polityka śmierć polityczna to jest prawie śmierć fizycznej. To są ludzie wyrzuceni za burtę. I czy oni nie ponoszą strasznych skutków tego? Ponoszą. Jeśli chodziliby o działanie typu karnego to byłoby to możliwe tylko wtedy, gdyby były do tego podstawy. My nie chcemy sądów ezarownic. Działacze polityczni popełniający błędy, źle kierujący odchodzą w niesławie. Nie chciałbym powiedzieć, że tego nie przeżywają, że taka kara nie jest dla nich straszna. Niekiedy w nich wykazywali jednak taką bezczelność, że na Plenum pouczali o tym, jak teraz należy poprawić sytuację. Ludzie tego typu naprawdę tego tak nie przeżywają. Ale trudno od nich czegoś takiego wymagać, aczkolwiek dziś nie można przesądzać, że wobec niektórych z nich wszystko się tak zakończy, jak to w tej chwili jest. Polityków nie można jednak karać sądownie za popełnione błędy, gdyż w kodeksie karnym nie ma takiego paragrafu.

Argumentacja ta nie wszystkim zbranym trafila do przekonania. Wielu ludzi uważa, że politycy, którzy wędzili kraj w tak głęboki kryzys powinni ponieść bardziej surowe kary niż ponieśli je do tej pory. Tadeusz Nowacki domagał się wręcz postawienia odpowiedzialnych za głęboki kryzys polityczny i gospodarczy przed Trybunałem Narodowym, choć prawo nasze takiego trybunału nie przewiduje.

W DYSKUSJI poruszono wiele jeszcze innych problemów: reformę gospodarczą i jej ewentualny wpływ na los różnych branż przemysłu, bilans materiałowy, rabunkową gospodarkę stosowaną wobec naszych narodowych zasobów surowcowych, rozwijającą się biurokrację i potrzebę redukcji ministerstwa dla usprawnienia systemu zarządzania, unowocześnienia i dostosowania do aktualnej sytuacji systemu planowania, pomoc państwa dla rolnictwa, rozwój kontroli społecznej i demokracji, zmianę systemu podziału dochodu narodowego.

Z zagajenia Krzysztofa Pawlaka: „Naszym zdaniem tezy na Zjazd muszą zawierać propozycje jakościowego zwrotu w rozwoju społecznym kraju. Proponujemy poddanie pod dyskusję zasadniczych zmian w podziale dochodu narodowego — w kierunku istotnego zwiększenia spożycia zbiorowego i absolutnego uprzywilejowania czterech dziedzin: służby zdrowia, ochrony środowiska, oświaty, kultury, nauki i komunikacji publicznej. Chodzi o to, żeby produkcja służyła realnym potrzebom ludzi, a nie tylko wymogom gospodarki.

„Naszym zdaniem w celu powstrzymania procesu „prywatyzacji” opieki zdrowotnej. Trzeba uczynić maksymalnie możliwy wysiłek dla rozbudowy i unowocześnienia bazy materialnej służby zdrowia.

Należy radykalnie zwlekszyć nakłady na ochronę środowiska, aby jak najszybciej przezwyciężyć skandaliczne zaniedbania w tej dziedzinie. (...) Proponujemy przedyskutowanie alternatywnego programu rozwoju komunikacji. Rozwój indywidualnej motoryzacji można i trzeba wyprzedzić nowoczesną, sprawną komunikacją publiczną. (...)

W sprawach oświaty proponujemy szybka rewizję programu i obciążenia szkolnego dzieci. (...) Nie możemy w tej dziedzinie oszczędzać oraz nadmiernie przemęcać dzieci.

Kryzys gospodarczy nie może ograniczać finansowo działań nauki i kultury. To grozi nieodwracalnymi stratami w przyszłości.

Podjęcie proponowanych tu przykładów zadań oznaczałoby dokonanie istotnego zwrotu. W programie naszym znalazły się nowy motyw — duch socjalizmu — orientacja na zapewnienie osobistego bezpieczeństwa; dążenie do zagwarantowania konsumpcji rozsądnej, a nie maksymalnej.”

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

— Napisał pan kiedyś: „Każdy system rządzenia potrzebuje i dobiera sobie odpowiednich ludzi, zatem stawia na człowieka o określonych cechach intelektualnych i charakterologicznych, jest praktyczną miarą społeczno-moralnej wartości danego ustroju”. A na wysokie piętro życia publicznego wyniósł pana polski, demokratyczny październik.

— System demokratyczny dobiera sobie takich ludzi, których przekonania i działalność są zgodne z tymi celami, jakie stawia sobie dany ustrój czy ekipa rządząca. A więc nawet naukowców, o których wiadomo, że nie będą posłuszni na każdym kroku. Człowiek posłuszny wykona wszystkie polecenia, choć zdaje sobie sprawę, że w poszczególnych przypadkach czyni źle... Cytowaną przez pana myśl zawarłem w obszernej rozprawie „Psychologia społeczna i ustrój polityczny”, którą opublikowałem w „Kulturze i Społeczeństwie” w roku 1967, a więc wówczas, kiedy można jeszcze było sporo powiedzieć.

— Napisał pan także, mając na uwadze państwa orientalne: „W stosunkach społecznych i w życiu państwowym liczy się zewnętrzność i wymuszenie po stronie mas akceptacji państwa w drodze tresury: pozór i gest są wszystkim, życie wewnętrzne — niczym”.

— Dotyczy to despotów wschodnich: Egiptu, Asyrii, Babilonii. Jeśli chodzi o republiki, demokracje, to już Montesquieu wskazywał, że dewiza ich winna być cnota.

— A więc wartości moralne?

— Tak. Ustrój demokratyczny, a zatem uznający zwierzchnictwo społeczeństwa nad strukturą państwową, będącą jego instrumentem, sta-

styczne”, tłumaczył: „Wybaczenie, ale ja przecież dokładnie marksizmu nie studiowałem”. Inteligencją przewyższał jednak wielu.

— Jak sobie przypominam, skłonności autokratyczne Gomułki pogłębiały się z biegiem lat i skończyło się to fatalnie. Zachodząc jednak w głowę, dlaczego jego następcą powtórzył ten sam scenariusz.

— Niezupełnie ten sam. Powtarzam: Gomułka był żarliwym komunistą, przede wszystkim miał na uwadze interesy robotników, ludzi pracy, całego społeczeństwa. Stąd uważał, że jego poglądy i działania są najtrafniejsze. Jednocześnie był popędliwy, pewny siebie, a nie miał żadnej kontroli nad sobą. Osiągnął takie uznania i taki autorytet (do czasu), jakiego nie zyskał nawet Kościuszko, w którym szlachta widziała jakobina buntującego chłopów. Tymczasem Gierk okazał się człowiekiem całkowicie odmiennym. W jego postępowaniu nie spostrzegłem tego oddania klasie robotniczej, jakie reprezentował Gomułka. Kontakty Gierka z robotnikami były reżyserowane, nieautentyczne.

— Fakt, irytować zaczęła w końcu ta scenografia...

— Rozwarła się tragiczna przepaść między frazeologią a rzeczywistością. Gierk powtarzał ciągle o patriotycznym zaangażowaniu, o potrzebie uczenia się demokracji, lecz były to tylko słowa.

— Gdzie pan widzi główne źródła naszych powojennych załamów?

— Wskazuję tylko na kilka przyczyn, nie eksponując żadnej, ponieważ tworzą one spójny wariant. Zaczęły się od stwierdzenia, że jednym ze źródeł tych kryzysów jest dogmatyczne realizowanie idei socjalizmu w Polsce, a więc nastawienie, którego trudno szukać u



ANDRZEJ BURDA: System demokratyczny dobiera sobie takich ludzi, których przekonania i działalność są zgodne z tymi celami, jakie stawia sobie dany ustrój czy ekipa rządząca. Foto: W. Stępień

od kultury politycznej społeczeństwa. Wiem, wymiguję się ogólnikiem, ale tłumaczył mi w pewnym stopniu pamięć o naszej wspaniałej kulturze politycznej w przeszłości, choćby w wieku XIX, kiedy Polska znajdowała się pod zaborami. Przecież to Henryk Kamiński pierwszy pisał o prawie do pracy jako o prawie przyrodzonym człowieka — sześć lat przed opublikowaniem „Manifestu Komunistycznego”, upatrującego w pracy podstawę ustroju społecznego. Jeszcze wcześniej, bo w roku 1834, ugrupowanie „Młodej Polski” głosiło, że przedstawiciele narodu do organów przedstawicielskich są w każdej chwili odwołujący przez wyborców. Myśl tę podjęli później Marks i Lenin, którego — dodam — stać było na przyznaniu się do błędów, na zmianę poglądów. W 1917 roku w „Państwie i rewolucji” twierdził, że rządzenie państwem socjalistycznym to sprawa niezmiernie łatwa, do opanowania nawet przez kucharkę. Ale kiedy trochę porządził, zmienił zdanie, mówiąc, że nawet inteligentna kucharka nie poradzi sobie z wiadomym problemem.

Obecnie, coż, rozwój naszej demokracji limitowany jest znanym układem sił we wschodniej i środkowej Europie. Jedno jest pewne: że nie ma socjalizmu bez demokracji, a pełna demokracja może pojawić się wówczas, kiedy całą klasę robotniczą podniesie się do roli podmiotu polityki.

— Początkowo Gierk zmierzał chyba do tego.

— Pozorował. Proszę pana, 20 grudnia 1970 roku, człowiek dojrzały oświadcza narodowi w telewizji, że zostanie powołana komisja do zbadania okoliczności i przyczyn tragedii na Wybrzeżu — ale nie dotrzymuje tej obietnicy... A jak pan sądzi: czy głównym źródłem ruchu robotniczego w Polsce nie był fakt poszarpanej godności robotników, którzy w swej wartej szacunku reakcji okazali się po trosze spadkobiercami postaw naszej szlachty? „Nie tylko dla chleba to robimy” — oświadczały strajkujący Lublina.

— Wracając do sprawy demokracji, chciałoby się postawić pytanie, czy i w warunkach jej „limitowania” nie dążyć się do czegoś dobrego zrobić?

— Dążyć się, zmieniając ordynację wyborczą do Sejmu, odchodząc od fatalnej w skutkach — niech pan zobaczy co się stało z naszą gospodarką — prawidłowości, że ci sami ludzie wydają prawa, ci sami je wykonują i identycznie kontrolują to wszystko. Jeśli nie rozdzielimy tych funkcji, znów grozi nam autokracja. Engels pisał: wszyscy urzędnicy powinni być odpowiedzialni przed sądem, a jeżeli zajdzie konieczność, karani. Lenin stwierdza: jeżeli członkowie Rady Komisarzy Ludowych popełnią nadużycia, powinni być postawieni przed sądem. A jak u nas wyglądają te sprawy?

— Mówi się, że taki rząd, jakie społeczeństwo...

— Zgoda, ale teza ta sprawdzać się może tylko w społeczeństwach otwartych.

— Proszę o wskazanie na kolejną przyczynę naszych kryzysów.

— Jest nią demoralizacja społeczeństwa, wynikająca z rozdziału między oficjalnie głoszonym słowem a rzeczywistością, z ustanowieniem żalonych porządków aksjologicznych, w których miejsce nie istniejącego kodeksu moralności socjalistycznej wypełniono treścią nauk, pożałujcie Boże, politycznych, a więc tworem praktycznie skompromitowanym. To wszystko stało się widoczne szczególnie w ostatnich latach. O ile Gomułka był człowiekiem inteligentnym, świetnie czującym historię i pełnym wiary, to jego następcy zaczęli karierę od dekorowania się fikcyjnymi dyplomami wyższych uczelni. To oni właśnie zapoczątkowali ten cały pęd do tytułomani, tak zresztą głęboko obecny działaczom z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, kiedy to picie kawy, spanie w piżamie i granie w brydża uchodziło za objaw drobnomieszczanstwa. Śmiejesz się dzisiaj, sam zresztą pytałem wówczas: „W brydża nie można, ale w durnia chyba tak?”, ale było zdrowsze, niż obyczajowość lat siedemdziesiątych.

— Nie twierdzę, że cały naród jest zdemoralizowany. Czyn robotników w 1980 roku świadczy bowiem o renesansie poczucia moralnego. Ale spustoszenia w tej sferze są wielkie.

— Na zaproponowany przez pana temat można by jeszcze długo mówić. Ograniczę się wszakże do stwierdzenia, że w przyszłości spoglądam z pewnym optymizmem, choć nie obejmuję on lat najbliższych. 50 lat żyłem ideą socjalizmu i nie żałuję tego, bo to piękna sprawa.

— Dziękuję, panie profesorze, za rozmowę.

Rozmawiał: IRENEUSZ J. KAMIŃSKI („Kamena”)

Nie ma socjalizmu bez demokracji

wia na wychowanie i na charakter człowieka. Władza może pobłdyzić, ale ludzie mogą ten błąd skorygować lub zaprotestować przeciwko określonym decyzjom.

— Albo zmienić władzę.

— Jeśli u nas traci ktoś funkcję publiczną, to zazwyczaj w sposób bardzo niecny, brzydki czy spektakularny, choć mimo tego daje mu się ciepła emerytura. Naród za niego płaci, a on jakoś tam, w spokoju, dożywa dni swoich, najwyżej dręcząc go wyrzutami sumienia, jeżeli ma takowe, naturalnie. Kiedy w 1956 roku usunięto z Biura Politycznego pewnego działacza, robotnika zresztą, przy każdej okazji mówił on: „Co mi tam, uważają mnie za dogmatyka, to i wróć do swojej pracy” — aż Gomułka nie wytrzymał i powiedział: „Tyle razy o tym mówicie i jakoś nie wracacie”. Mimo tego nie wrócił... Czy to nie paradoks, że państwo oparte na idei pracy posiada 40-letnich, zdrowych fizycznie emerytów?

— Na październikowej fali demokratyzacji życia w kraju system ulokował pana na wysokim stanowisku, które opuścił pan w 1981 roku. Można przypuszczać, że kiedy demokracja jakby przyblądła, system odrzucił pana jako człowieka już nieprzydatnego w nowych warunkach.

Marksa czy Lenina. Marks twierdził, że w perspektywie czasu proletariatu osiągnie taką pozycję w społeczeństwach, w systemie produkcji, iż musi dojść do władzy, co też się stało w różnych krajach współczesnego świata. Rzecz w tym, że nie jedyną drogą prowadzi do państwa klasy robotniczej. Na stronie 67 w 23 tomie „Dzieł” Lenina znajduje się takie zdanie: wszystkie narody dojdą do socjalizmu, ale nie wszystkie jednakowo, każdy z nich wniesie coś własnego do takiej lub innej odmiany demokracji.

— Pamiętam, że 25 lat temu wyraźnie mówiło się o „polskiej drodze do socjalizmu”.

— Do 1960 roku. Nie tylko zresztą mówiło się, bo Gomułka dbał o potrzeby narodu, miał odwagę stawiać kwestię suwerenności. Natomiast Gierk nie używał już tego określenia, w praktyce był rzecznikiem dogmatyzmu...

Następna przyczyna wiąże się z pierwszą i leży w płaszczyźnie psychologii społecznej. Otóż my jesteśmy trudniejsi do rządzenia, niż na przykład nasi sąsiedzi. Stwierdzenie to nie wynika z jakiejś mojej podatności na mity i frazesy w rodzaju: Polska „natchnieniem narodów”, jak to swego czasu obwieścił Roosevelt. Ale geopolityka, a więc historia ukształtowała polską odrębność, polegającą m.in. na wielkiej zdolności manewrowania celem zachowania wolności. Polacy nie znoszą schematów, są indywidualistami, trudnym elementem do tworzenia struktury państwowej. W drodze stosowania ostrego reżimu rządzenia i bagatelizowania opinii publicznej ciężko u nas osiągnąć społeczną akceptację celów sformułowanych „na górze”.

Ten indywidualizm, posuwający się czasami do anarchizmu, rozdzielił niechęć do instytucji państwa szlacheckiego, później zaborczego i znów własnego. W okresie międzywojennym, że przypomnę, opozycja była licniejsza od ugrupowań popierających Piłsudskiego, który zresztą też był indywidualistą. Jako młody człowiek też nie lubiłem marszałka; byłem synem chłopca, a chłopci nie darzyli sympatią dyktatora. Wyraziłem to we wspomnieniowej książce „Lata walki i nadziei”.

— W kręgach uniwersyteckich mówi się, jakoby jej drugi tom, obejmujący okres Polski Ludowej, nie przypadł do gustu cenzurze.

— Ciekawe, bo ja go jeszcze nie napisałem, tyle, że „Wydawnictwo Literackie” wyraziło chęć opublikowania takiej pracy, jeśli naturalnie stanie się faktem pisarskim.

— Gdzie pan upatruje innych przyczyn naszych kryzysów?

— W niedemokratycznych metodach rządzenia.

— O pełnej potrzebie demokracji mówiło się w roku 1956 i 1970, a teraz znów powraca ten motyw, jako niespełnione datąż marzenie. Smutna to cykliczność, panie profesorze... Ale: czy istnieje możliwość stworzenia strukturalnych gwarancji dla demokracji?

— Proszę pana, przede wszystkim zależy to

Dalszy ciąg ze str. 1

wojska radzieckie nie ustępują pod niemieckim naporem czy aby znów tu nie wróć Niemcy. Cieszone się wolnością, choć być głodno i chłodno, a kraj był w ruinie. Wszystko trzeba było zaczynać od nowa. Ale już w wolnej Polsce. I to się wtedy liczyło najbardziej.

Zawsze powinniśmy pamiętać o tej dacie historycznej, aby w tym dniu uczcić pamięć tych wszystkich, którzy polegali w walce o nasz kraj, o nasze miasta, którzy oddali swe życie dla naszej przyszłości, wolności. I o tym zapamięć nie wolno. Ani nam — świadkom tych wydarzeń, ani tym, którzy przyjdą po nas, naszym dzieciom i wnukom. Ofiary krwi nigdy nie wolno zapomnieć. Była to krew przelana we wspólnej sprawie, we wspólnej walce. W tamte dni śmiertelnej walki z faszyzmem nikt nie oszczędził krwi i życia, w obronie waszej i naszej wolności, w walce o nią. I o tym trzeba pamiętać.

Co roku przy różnych okazjach historycznych wydarzeń wspominamy, jak było Czasem wario jednak zastanowić się w ogóle nad sensem naszego stosunku do historii. Często mówi się, że „historia jest nauczycielką życia”. To znaczy, że w przeszłości szukano takich przykładów, które mogłyby wskazywać, jak postępować współcześnie. Traktowano też historię jako politykę uprawianą wstecz. Jest to nieco inna forma „nauczycielki życia”, jest to bowiem szukanie w przeszłości uzasadnienia dla tego, co robi się aktualnie. Jest to niejako historyczna podbudowa współczesności. Ale historia powinna być traktowana jako dążenie do prawdziwego odtwarzania minionej rzeczywistości. Historia jako nauka. Historia jest bowiem procesem obiektywnym, dokonującym się według obiektywnych praw rozwoju społecznego. Historia — czyli poznawanie tej przeszłości — jest nauką.

Wybitny polski historyk, Tadeusz Manteuffel tak pisał o znaczeniu historii w życiu narodu: „Czasami można obserwować u historyków pewien rodzaj kompleksu, który bierze się z poczucia jakoby niepełnej społecznej wartości ich dyscypliny w porównaniu z innymi naukami. Temu kompleksowi historyków odpowiada czasami pełen wyższości (a niekiedy i lekceważenia) stosunek do historii pragmatyków czy technokratów, dla których rzeczywistość społeczna sprowadza się nieomal do bezpośredniego namacalnych kategorii natychmiastowej i trywialnej użyteczności. Obie te postawy uważam za całkowicie nieuzasadnione. Doniosłość historii jest oczywiście doniosłością innego rzędu niż np. doniosłość ekonometrii, wszelako jest prostactwem przeciwstawiać jej sobie i uznanie dla jednej uzależniać od deprecjacji drugiej. Podobnie jak nie może rozwijać się właściwie kraj, którego ekonomika jest chora, tak samo narazone jest na skarcenie i wegetację kulturową społeczeństwo, które odwróciło się i odcięło od własnej historii”.

Czy wszakże do własnej historii naród musi odnosić się bezkrytycznie? Przeciwnie. Nie powinien własnej historii ani gloryfikować bezkrytycznie, ani jej się wstydić. Powinien ją krytycznie oceniać.

„Można oczywiście uciec od historii lub starać się zmniejszyć jej „presję” — napisał Jerzy Topolski w książce „Świat bez historii”. — Nie uważamy wcale, że człowiek winien bez reszty poddawać się tradycji, która rzeczyć może przeszkadza w marszu narodu. Jednakże nie widzimy innej drogi rozwinięcia aktywnego stosunku do tradycji jak właśnie jej krytyczne rozpoznanie, a to nie jest możliwe bez rozwinięcia myślenia historycznego. Nie będzie to jednak ucieczka od historii”.

Myślenie historyczne — to nic innego jak widzenie rzeczywistości w rozwoju, jako nieustannie stającego się procesu, który ma swoją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. To umiejętność widzenia związku między tym, co minęło, tym, co się staje i tym, co wyniknie. To umiejętność „siegania do korzeni”. Takie myślenie musi być częścią składową świadomości społecznej. Z takiego myślenia musi wynikać umiejętność krytycznego oceniania przeszłości, ukazywania prawdy historycznej, nawet wtedy, gdyby prawda ta była bolesna.

W naszej najbliższej przeszłości wielokrotnie już odcałiliśmy się od historii, sugerując, że nasz współczesny świat zaczął się od tej lub innej daty. Jest to stanowisko antydialektyczne, nie mające nic wspólnego z materializmem historycznym. Są oczywiście w historii każdego narodu momenty przełomowe, ale nie spadają one z nieba, a są tylko wynikiem stopniowo na s'ającego procesu. Każda teraźniejszość ma swoje przesłanki w przeszłości. Zademno narodowi nie można narzucić, jeśli nie jest on wewnętrznie, choć w części do tego przygotowany. A właśnie świadomość historii, świadomość narastających procesów może pozwolić zrozumieć lepiej i wnikliwiej każdą teraźniejszość. Nie wszyscy politycy wszakże kochają historię.

Tadeusz Manteuffel w cytowanej już książce „Historyk wobec historii” tak pisał:

„...ludzie na stanowiskach urabiają pewną legendę swojej przeszłości. Chcieliby ją widzieć w sposób odmienny, niżeli miała się w rzeczywistości, a historyk, który ma do czynienia z źródłami, nie bardzo może na tego rodzaju podstępny się zgodzić. Staje wobec poważnego konfliktu. Albo pisze historię naukową tak, jak chciałaby ją widzieć jego m'odawca, albo też — dostrzegając wszelkie trudności jej pełnego przedstawienia — ogranicza się — i to znacznie. Bo przecież historia namowska dotyczy mnóstwa najrozmaitszych spraw, których nawet po latach 20 nie da się w pełni omówić i przedstawić bez narażania na szwank interesów publicznych, nie mówiąc już o prywatnych”.

Dla wyjaśnienia dodam tylko że dawniej obowiązywała zasada udostępniania materiałów archiwalnych dopiero po 50 latach od danego wydarzenia. Dziś niemal zupełnie nie przestrzegana. Jeśli dziś jakichś materiałów archiwalnych nie udostępnią, to zupełnie z innych powodów. Dziś jednak trudno uciekać od prezentacji faktów z historii najnowszej. Powinna ona bowiem być też częścią świadomości społecznej. I dlatego powinna być jak najpełniej i najprawdziwiej ukazywana.

I nadszedł dzień tak wyczekiwany

Wróćmy więc do 19 stycznia 1945 roku. Jak wówczas było? Napisano o tym już sporo. Wya-

ZANIM ŁÓDŹ OBJĘŁA OBOWIĄZKI STOLICY

sa się do tego co roku w styczniu. Odwołajmy się tym razem do wydanej w ubiegłym roku przez Wydawnictwo Łódzkie książki Kazimierza Badziaka i Włodzimierza Kozłowskiego „Wyzwolenie Ziemi Łódzkiej Styczeń 1945”. W książce tej autorzy cytują wspomnienia generała majora Grigorija Chetagurowa, wówczas dowódcy 82 dywizji piechoty, która brała między innymi udział w walkach o Łódź:

„W likwidowaniu ostatnich punktów oporu przeciwnika, który usadowił się na strychach domów i w zamienionych w bunkry piwnicach, nieocenioną pomoc okazali nam mieszkańcy Łodzi. Oni oczywiście lepiej niż nasi żołnierze wiedzieli, w jaki sposób szybciej i bezpiecznie dostać się do tych domów i bunkrów, gdzie bronili się hitlerowcy zaopatrzeni w panzerfausty i wielokalibrowe karabiny maszynowe. Liczni robotnicy łódzcy działali wówczas jako doskonale zwiadowcy naszych jednostek.”

Kazimierz Badziak i Włodzimierz Kozłowski przytaczają w swojej książce wiele takich przykładów udziału łodzian w likwidacji gniazd oporu hitlerowców. Ot, choćby w walkach na Chojnach:

„Walki o opanowanie Chojen toczyły się z osamotnionymi, choć walecznymi z determinacją grupami żołnierzy niemieckich. Do krótkich walk doszło także na Czerwonym Rynku, przy zbiegu ulic Rzgowskiej i Piasecznej, na Podmiejskiej, Leczniczej i Tuszyńskiej. Niemcy brnili się m.in. w kilku szkołach, zamienionych w silne punkty oporu. W walkach tych uczestniczyli ochotnicy radziecy i Polacy. Charakterystycznym przykładem mogą być walki w rejonie ulic Podmiejskiej i Leczniczej. Resztki garnizonu niemieckiego ułokowały się w gmachu pobliskiej szkoły, pospiesznie zamienionej na koszarę. Jako pierwszy do ataku ruszył czółg radziecki z siedmioma polskimi ochotnikami. Ogień armatni zniszczył gniazdo niemieckiej broni maszynowej, a uciekających Niemców wylapała miejscowa ludność.”

19 stycznia 1945 roku wieczorem łodzianie kładli się już spać w wolnym miescie. Wojska radzieckie dalej posuwały się na zachód, goniąc uciekających Niemców. Następnego dnia przybył do Łodzi pełnomocnik Rządu Tymczasowego — Ignacy Loga-Sowiński. 21 stycznia 1945 roku spotkał się on z grupą członków PPR. Omawiano najbliższe zadania. Feliks Berski, Bolesław Faust, Stanisław Gołębiowski i Kazimierz Głazewski otrzymali zadanie stworzenia organizacji PPR w Łodzi. 22 stycznia w hali sportowej odbył się wiec. Zaczęło się mówić o budowaniu nowej władzy — władzy ludowej. W pracy tej aktywnie uczestniczyli członkowie partii: PPR i PPS. Jest to mniej znana część najnowszej historii Łodzi. Jej więc poświęcimy kilka uwag.

PPR wychodzi z podziemia

Sytuacja działaczy partyjnych, tych wszystkich, którzy należeli do partii i działali przed wojną, jak i w czasie okupacji nie była łatwa. Okupant, poprzez penetrację swoich agentów w podziemi, zniszczył wiele organizacji partyjnych, rozbił je, zdzielsiatkował i rozproszył. Mimo to partie w podziemiu działały. W chwili wyzwolenia nie było jednak w Łodzi takiej sily, która mogłaby stanąć na czele odradzającego się życia, powołać nowe, demokratyczne władze. Rolę tę spełnił pełnomocnik Rządu Tymczasowego oraz powołana w Lublinie przez KC PPR Łódzka Grupa Operacyjna, która znalazła się w Łodzi 21 stycznia 1945 roku. W skład tej grupy wchodził: Stanisław Baranowski, Anna Jesse, Kazimierz Witaszewski, Stanisław Muszyński, Roman Witkowski, Antoni Tomczyk, Roman Fryszenberg, Józef Malu, Marian Gusek, Władysław Nieśmiałek, Tadeusz Strzelczyk, Marian Minor i inni.

Zaraz po wyzwoleniu wielu członków partii przystąpiło do tworzenia milicji. Różnie ją w pierwszych dniach wolności nazywano: milicją porządkową, milicją ochrony magistratu. Czesław Wotos utworzył taką milicję na Bałutach. Jan Kaczmarek na stacji Łódź-Chojny dla ochrony magazynów wojskowych Julian Kasprzak i Konrad Trzepiński utworzyli komisariat milicyjny przy ul. Wschodniej 38. Komisariaty takie powstały również na Widzewie, przy ul. M. Kopernika, Zielonej, Obróńców Słabingradu. (Nazwy ulic są oczywiście obecne). Nie wszyscy, którzy wstępowali do milicji byli członkami partii. Przyjmowano każdego, kto się zgłaszał, ale później członkowie PPR i PPS, których oddelegowano, lub którzy sami zgłosili się do pracy w milicji, musieli oczyścić jej szereg z wielu osób przypadkowych lub wręcz niepożądanych z różnych przyczyn.

Zajmowano lokale, tworzone „dzielnice”. Przy

ul. Przędzalnianej 68 powstała na przykład „Dzielnica Fabryczna KPP”, której sekretarzem był Bronisław Wagenbirchler. Takich dzielnic powstało więcej: w zajezdni tramwajowej przy ul. Dąbrowskiego, Karolew, Koziny, Chojny. Zostały one włączone później do organizowanych dzielnic partyjnych.

Budowa partii w Łodzi toczyła się więc jakby dwoma nurtami: oddolnym, samorodnym zmierzającym do tworzenia organizacji partyjnych. To były właśnie owe dzielnice powoływane do życia przez działaczy partyjnych. Powstały one też w Rudzie Pabianickiej, gdzie funkcję I sekretarza sprawował Franciszek Głowacki. A także w Radogoszczu, gdzie funkcję sekretarza sprawował Henryk Rudnicki, przedwojenny dziennikarz, założyciel „Wolnej Łodzi”, później wieloletni dziennikarz „Głosu Robotniczego”.

Drugim nurtem było działanie odgórne, ujmujące odradzający się ruch robotniczy w Łodzi w określone normy organizacyjne. Nie był to proces łatwy. I to z kilku powodów.

Po pierwsze — nie było ludzi Brzmi to jak paradoks, ale wcale paradoksem nie jest. Ludzie garnęli się przecież do działania, oszołomieni byli wolnością, chcieli budować nową władzę, jaka by ona tam nie była ale, aby tylko była własna, polska. Szeregi partyjne rosły szybko. Zygmunt Pietrzak w artykule pt. „Ruch organizacji Polskiej Partii Robotniczej w Łodzi w pierwszych tygodniach po wyzwoleniu”, drukowanym w „Roczniku Łódzkim”, tom XVII z 1973 roku, podaje dane o rozwoju szeregów PPR w Łodzi:

- 5 lutego 1945 roku w PPR było 1.800 członków,
- 11 lutego — 2.350 członków,
- 16 lutego — 4.220 członków.

Ala dyskusja na I Łódzko-Wojewódzkiej Konferencji PPR, wykazała, że wielu członków partii nie bardzo orientowało się w programie PPR, w jej zadaniach, w jej roli, jaką ma odgrywać w powstającym państwie. W tej konferencji wzięło udział 522 delegatów. Reprezentowali oni 4.220 członków partii z Łodzi i 7.091 członków z organizacji powiatowych. 410 delegatów należało do partii w przeszłości. Należeli oni: 110 do KPP, 170 do PPR, 15 do PPS-Lewicy, 15 do PPS.

Jak wówczas pracowano? Zygmunt Pietrzak we wspomnianym artykule cytuje wspomnienia Kazimierza Witaszewskiego:

„Wytworzyła się taka sytuacja, że byłem jednocześnie kierownikiem Wydziału Zawodowego w KC PPR, sekretarzem generalnym w KC ZZ, prezydentem miasta Łodzi i członkiem egzekutywy KW PPR, rano siedłem do Zarządu Miasta, po obiedzie do związku, a wieczorem do KW. W domu bywałem rzadko.”

W aparacie partyjnym pracowano się wówczas za darmo. Dostawało się jedynie bezpłatne żywność, o którą nie było łatwo. I nie do wszystkich miano zaufanie.

Po drugie — nie wszyscy, którzy przed wojną należeli do partii lub sympatyzowali z ruchem komunistycznym mogli i chcieli działać w czasie okupacji. Trzeba pamiętać, że KPP została rozwiązana na długo przed wybuchem wojny i nie udało się jej przed wrześniem 1939 roku odbudować. PPR była już partią innego typu, choć stojącą na gruncie marksizmu-leninizmu. Nie wszyscy byli członkowie KZMP, czy KPP aprobowali program PPR. Uważano, że PPR reprezentuje tendencje prawicowe, sprzeciwiano się dążeniu do uczynienia z PPR partii masowej, chciano zachować jej kadrowy charakter, nie wszyscy rozumiel znaczenie frontu demokratycznego, potrzeby ścisłego współdziałania z innymi partiami PPS, Stronnictwem Demokratycznym, ruchem ludowym w twierdzeniu frontu sił patriotycznych i demokratycznych dla odbudowy państwowości polskiej na demokratycznych, ludowych zasadach. Dawały o sobie znać tendencje sektarskie, dogmatyczne, tym bardziej, że — jak się to później okaże — partia musiała działać w warunkach walki z podziemiem reakcyjnym i w warunkach walki politycznej z siłami, które były przeciwnie formowaniu się demokracji ludowej.

Proces tworzenia partii postępował jednak systematycznie naprzód. Powołano Komitet Wojewódzki PPR i Komitet Łódzki KW początkowo mieścił się w pałacu I. Poniańskiego przy ul. Gdańskiej 35, a później (od 1 lutego 1945 roku) przy ul. H. Sienkiewicza 49. KE przy ul. Wólczańskiej 17. Stanowisko I sekretarza objął Ignacy Loga-Sowiński. W skład egzekutywy KW weszli ponadto: Kazimierz Witaszewski, Mieczysław Moczar, Władysław Nieśmiałek, który został też I sekretarzem KE PPR.

Utworzono też 6 dzielnic: Bałuty — z I sekretarzem Edwardem Wróblewskim Górna Ława — z I sekretarzem Stanisławem Baranowską, Górna Prawa — z I sekretarzem Józefem Pokorskim, Śródmieście Prawa — z I sekretarzem

Januszem Falkiewiczem, którego po miesiącu zastąpił Stanisław Gołębiowski, Śródmieście Lewa — z I sekretarzem Mieczysławem Sobczakiem, którego po kilku dniach „zmienił” Julian Kasprzak, Widzew — z I sekretarzem Wacławem Piotrowskim, i II — Michałną Tarkówną.

Od pierwszych dni działacze PPR, PPS, SD i Stronnictwa Ludowego nawiązały kontakt w sprawie współpracy. Zresztą instrukcja KC PPR dla partyjnych grup operacyjnych w punkcie 8 nakazywała:

„Porozumienie się i zainicjowanie współpracy z pozostałymi partiami i stronnictwami demokratycznymi, powołanie Komisji Porozumiewawczej.”

Okres kształtowania PPR w Łodzi, choć jeszcze całkowicie nie zakończony zamknął jeden etap wspomnianą już I Łódzko-Wojewódzką Konferencją PPR, która odbyła się w dniach 17—19 lutego 1945 roku. Uczestniczył w niej Władysław Gomułka, który zebrany delegatami zaprezentował program partii i wyjaśnił najbliższe zadania stojące przed PPR.

PPS wychodzi z podziemia

25 września 1939 roku RN PPS podjęła decyzję o zawieszeniu działania i rozwiązaniu partii. W Łodzi stało się to znacznie wcześniej, bo już 6 września. PPS miała jednak w Łodzi silne wpływy wśród klasy robotniczej. Nie trzeba zapominać, że działała legalnie w Łodzi do głosu dochodziły już tendencje lewicowe w PPS, dążące do współpracy z KPP, jednolito-frontowe. Łódzka delegacja na XXIII i XXIV Kongres PPS znajdowała się wśród partyjnej lewicy. Co wcale nie znaczy, że wśród łódzkich działaczy PPS nie było takich, którzy reprezentowali poglądy prawicowe, które zresztą później przeżywały w Okręgowym Komitecie Robotniczym PPS w Łodzi.

Nie więc dziwnego, że już w listopadzie 1939 roku przede wszystkim lewicowi działacze PPS, nie licząc się z faktem powstania w Warszawie Centralnego Kierownictwa Ruchu Mas Pracujących Miast i Wsi — Wolność i Równość i Nępodległość, opanowanego przez siły prawicowe PPS, a może i nie mając dokładnych o tym fakcie danych, przystąpili do tworzenia organizacji partyjnej pod okupacją. Dużą rolę odgrywał tu PPS-owski działacz jednolito-frontowy Henryk Wachowicz, który utrzymywał bliskie stosunki ze Stanisławem Dubois, Norbertem Karlickim, Adamem Próchnikiem. Silne węc tu były wpływy polskich socjalistów. (Od 11 kwietnia 1943 roku przemianowana w Robotniczą Partię Polskich Socjalistów) Mniej natomiast znaczyli zwolennicy WRN, którym przewodził Edmund Chodźkiński, a po a-esztowaniu ich z 1941 roku praktycznie przestali działać.

Aresztowania rozpoczęły się jesienią 1941 roku i trwały do wiosny 1942 roku. Rozbiły one znacznie ruch socjalistyczny w Łodzi.

„W chwili wyzwolenia — pisał Władysław Stefaniuk w książce „Łódzka organizacja PPS 1945—1949” — „ruch socjalistyczny znajdował się w stanie organizacyjnego rozproszenia. Wielu działaczy znajdowało się jeszcze w obozach koncentracyjnych bądź w innych ośrodkach kraju, a ci, którzy przeżywali w Łodzi, często

czyli 6.119 członków. Działały dzielnice: Zielona — z przewodniczącym Wacławem Bażanem, Śródmieście Lewa — z przewodniczącym Stanisławem Frontezakiem, Śródmieście Prawa — z przewodniczącym Czesławem Walskikiem, Bałuty — z przewodniczącym Stanisławem Brożyńskim, Koziny — z przewodniczącym Marianem Popińskim, Chojny Południe — z przewodniczącym Franciszkiem Szejnerem, Chojny Północ — z przewodniczącym Franciszkiem Lewym, Górna — z przewodniczącym początkowo Janem Frazakiem, a od 15 kwietnia Franciszkiem Ziębą, Julianów — z przewodniczącym Kazimierzem Lenartowiczem, Fabryczna — z przewodniczącym Tadeuszem Kowalskim, Widzew — z przewodniczącym Mikołajem Malinowskim i Elektrownia Łódzka, którą zorganizował zaraz po wyzwoleniu Kazimierz Zakrzewski, i który 22 kwietnia został przewodniczącym.

I Wojewódzka Konferencja PPS odbyła się w Łodzi 4 marca 1945 roku. W obradach uczestniczył sekretarz generalny CKW PPS — Stefan Matuszewski. Omówił on zadania stojące przed członkami partii, wzewał ich do aktywnego udziału w odbudowie życia gospodarczego, politycznego i społecznego. Rzucono hasło: „Każdy członek PPS — członkiem spółdzielni”. Uczestnicy konferencji opowiedzieli się za współpracą z PPR, akceptując dotychczasową politykę LKR PPS. Jedynie J. Krupa-Skibiński z Pabianic zakwestionował sposób objęcia funkcji sekretarza przez Henryka Wachowicza. Zdecydowano nie wybierać władz wojewódzkich, a tylko powiększyć skład LKR o delegatów z komitetów miejskich i powiatowych. Tak powiększony LKR przyjął nazwę Wojewódzki Komitet Robotniczy PPS. Jego sekretarzem pozostał H. Wachowicz. J. Krupa-Skibiński pozostał osobonony ze swoimi zarzutami.

Wszakże nie wszystko w rozwoju partii toczyło się tak łatwo i prosto. PPS również borykała się z różnymi trudnościami. Ciążyła na niej przedwojenna struktura, dawne przyzwyczajenia, poglądy wielu członków. Niektórym wydawało się, że wystarczy jedynie być członkiem partii. W maju 1945 roku WK PPS opiekując się na „Okólniku nr 10 CKW”, tak określał postawę członka PPS:

„W partii nie może być członków biernych. Od każdego nowo wstępującego trzeba żądać konkretnej roboty zarówno w samej partii, jak i w odcinkach wskazanych mu przez partię. Od uaktywnienia naszych członków, od poczucia odpowiedzialności przed partią za wykonywaną przez członka pracę zależy przetrwanie i siła naszej organizacji. Tylko partia zdyscyplinowana, przejawiająca aktywność we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego, społecznego i politycznego może odegrać rolę w państwie i mieć decydujący wpływ na kierunek rozwojowy Polski.”

W odrodzonej PPS dominowały jednak tendencje działania przedwojennego. Przed wojną partia posiadała strukturę terytorialną, a więc członkowie jednoczyli się do działania w miejscu zamieszkania. Po wojnie zaczęto tworzyć koła fabryczne, a więc jednoczyć do działania w miejscu pracy. Do tej drugiej zasady przy-



Foto: W. Kraska

o sobie nawzajem nie nie wiedzieli. Na podkreślenie zasługuje fakt, że działalność polityczną natchemniast podejmowali działacze jednolito-frontowi, przede wszystkim ci, którzy w okresie okupacji byli związani z RPPS. Nieco inaczej przedstawiała się sytuacja wśród byłych działaczy WRN, u niektórych występowały różnego rodzaju wahania i opory. Niemniej wkrótce większość byłych członków PPS aktywnie włączyła się w powstające wówczas formy życia społeczno-politycznego. Na uboczu pozostał jedynie działacze o poglądach zdecydowanie prawicowych.

Pierwsze zebranie działaczy i członków PPS odbyło się w Łodzi 24 stycznia 1945 roku. Powołano kierownictwo PPS. Przewodniczącym Łódzkiego Komitetu Robotniczego został Jan Stanisław Haneman, który dopiero miał przyjechać do Łodzi z pełnomocnictwami CKW PPS. Zastępcą przewodniczącego został Stanisław Duniak, sekretarzem Henryk Wachowicz.

Zaczęto tworzyć dzielnice. Utworzono ich 11. Do połowy marca 1945 roku PPS w Łodzi li-

wiązywano znacznie mniej uwagi, mimo odgórnych zaleceń. W sumie życie partyjne koncentrowało się wokół dzielnic partyjnych, co osłabiało koła fabryczne. Widząc to WKR w Łodzi podporządkował je bezpośrednio sobie, co jeszcze bardziej koła te osłabiło. Ujawniło się to z całą ostrością w sytuacjach konfliktowych, jakie wybuchaly w łódzkich fabrykach.

Te i inne przeciwności rysujące się już na początku działania PPR i PPS odegrały później niemałą rolę w ich działalności, co nie było bez znaczenia dla wzajemnych stosunków i praktycznego współdziałania. Ale to już zupełnie inny temat i inny okres w najnowszej historii Łodzi. Wtedy to Łódź pełniła obowiązki stolicy. Może jednak o tym przy innej okazji.

WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

Dalszy ciąg ze str. 1

leryjski. Oliwkowe bryczesy. Oficerki — pardon — botforty z chromowej skóry z juchtowymi wylogami. Na pierwszym rzucie oka: przedstawiciel hermetycznego klanu koniarzy.

Pietraszewscy pochodzą z Grodzien-szczyzny. Sam Jerzy — urodzony w Dojlidach — wychował się na kresowej wsi, gdzie od małego żył się z najszlachetniejszym z zwierząt. Konia też dostał we wrześniu 1938 roku jako ochotnik w 9 Pułku Strzelców Konnych. Szmaragdowo-złoty poręczak z amarantowym paskiem pośrodku. Rogatyki z pomarańczowym otokiem.

Poznać pana po cholewie,

to dziewiąty pułk w Grajewie!

Dziwiałty stacjonował w Grajewie, skąd przerzucony został w rejon Stawisk, gdzie osłaniał granicę z Prusami Wschodnimi. Odważny wypad na teren wroga pod miejscowość Bęcząc, a potem odwrót za Narew, ciężkie zmagania z nieprzyjacielem w rejonie Zambrowa i Ostrowi Mazowieckiej, wreszcie przedarcie się do Puszczy Białowiejskiej

Dowódca, pułkownik Karaszewski chce przejść do Litwinów, wkracza jednak do akcji major Diaczenko z 3 Pułku Szwoleżerów Mazowieckich im. J. Kozietulskiego. Szwoleżerowie z Suwałk — po wypadzie na teren Prus Wschodnich, po walkach w rejonie Zambrowa i Głębocza Wielkiego — dotarli też do Białowieży. Diaczenko porwuje za sobą swoich szwoleżerów i obcych strzelców konnych. Obie — zdziśniętowane — formacje wracają w głąb kraju, aby wejść w skład Specjalnej Grupy Operacyjnej „Polesie” — generała Franciszka Kleberga. Bohaterskie boje pod Charlejewem i Wołą Gulowską, a w końcu — 6 października — dramatu epilog: akt tragedii i rozpacz — kapitulacja.

Inżynier Pietraszewski niechętnie wspomina ten okres.

— Przerwa w życiorysie! — Ironizuje ze smutnym uśmiechem. Nie bez powodu. Po okupacyjnym koszmarze, po tulaczce i ukrywaniu się, po konspiracyjnej robocie — uławni w 1944 roku oficerowi i Armii Wojska Polskiego w Lublinie swoją wojenną i okupacyjną przeszłość. Ten wysłuchał w milczeniu. Pod drzwiami potem sprawdził, żeby w końcu poradził miodemu i naiwnemu, cicho, lecz dobitnie:

— O tym fragmencie swojej biografii postarajcie się zapomnieć raz na zawsze. Tak będzie dla was lepiej.

Ba, ale jak to zrobić? Nielatwo z pamięci wymazać najmocniejsze przeżycia wczesnej młodości, nawet jeśli się je pociesza w ankiecie personalnej. Doskwierają do dziś, niczym drzazga w bucie. Zwiastują, że niejasności tyle. Postać samego Karaszewskiego — wątpliwa, nie mówiąc już o Diaczenku, który był ponoć rezydentem wywiadu hitlerowskiego. Tak przynajmniej utrzymuje Omiłjanowicz w swojej książce pt. „Było to nad Czarną Hańczą”. Kilka stron z tej książki ma inżynier odbitych na kserografie. I sam nie wie, co myśleć. Czy „jego” Diaczenko był prawdziwy, czy Diaczenko Omiłjanowicza? A może są różni Diaczenkowie chociaż ci sami? Tak czy inaczej, ciężki ten bagaż, a trzeba go będzie donieść do końca, do końca też pewnie nie wiadzą, co w istocie zawiera.

Niechętnie wraca Jerzy Pietraszewski w lata dzieciństwa, w lata młodzieńczych doświadczeń. Mimo wszystko czuła 1945 zdaje się być bez-

pieczniejsza dla wspomnień, wszystko zdaje się być jaśniejsze i prostsze, mimo wszystko, mimo różnych tam chmur i zakrętów.

Czterdziesty piąty — koniec rozłąki z rodziną, a i studia na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego. Ulan nie schodzi jednak z konia. Noblesse oblige. Klan koniarzy wzywa. Praktyka zatem dyplomowa w Walewicach, a praca dyplomowa: „Monografia walewickiej stadniny”. W 1948 roku skierowanie do pracy w stadninie Łobez-Swięto-borze na Ziemiach Odzyskanych. Jedzie tam już z żoną — Krystyną, ko-

Po nim przyszedł do Walewic Tadeusz Marchwiński — również reprezentant klanu koniarzy; przedwojenny inspektor Zakładu Hodowli Koni i dyrektor bogusławickiej stadniny. Specjalista pierwszej wody, ale... Darujmy sobie. Za jego to kadencję nad rodziną — dzieciątka już — Pietraszewskich zawisły przysłowio-czarne chmury.

— Po prawdzie, to sam sobie byłem winien — stwierdza z rezygnacją inżynier, jako że sam srode naraził się swoim mocodawcom nazbyt pilnym — w ich opinii — przestrzeganiem prawa łowieckiego, które na-

Inżynier — wspólnie z małżonką — wyprowadził 1.800-hektarowe gospodarstwo z katastrofalnego wręcz stanu. Pod jego ręką wypiękniało i rozkwitło. Luszyn ma więc swój najserdeczniejszy kątek w rodzinnych wspomnieniach, ma też bogatą kronikę, zapelnioną dokumentami i fotografiami, a po części — kaligrafowanymi starannie zapiskami dorastających dzieci.

ZA KAMIENNYM MUREM

Pochyla nad luszynską kroniką swą podgoloną po szlachecku czuprynę. Pochyla się też jego żona — w egzystencjalistycznym golfie, z ascetyczną fryzurą, postrzyżoną a la Maria Dąbrowska. Jej ararycja, nieco egzaltowana gestykulacja i nader wyszukany język na myśl przywodzą raczej jakąś poetessę czy malarke, przedstawicielkę artystycznej bohemy, nie zaś inżyniera zootechniki. Nad kroniką przystaje też na chwilę ich córka — Katarzyna, całkiem współczesna dziewczyna w czarnych spodniach ze sztruksu. Zamierza studiować historię sztuki sakralnej, przedtem jednak chce trochę odchowić swą córkę, Elizę, raczkującą właśnie po dywanie.

— Kiedy po latach ciężkich zmagania, wytężonej pracy Luszyn dojrzał i wyrósł — stwierdza z sarkazmem pani domu — kiedy wybił się i okrzepł, znów przeniesienie służbowe, taka ta nasza sprawiedliwość.

Powrót do Soboty, w której znów odżyła atmosfera szczęśliwej młodości, w której znów dały znać o sobie dobre i złe wspomnienia.

Chodził najpierw dyrektor po całym gospodarstwie, z troską i żalem konstatając, że majątek — często zmieniający zarządców — podupadł, spisał, zbrzydł. Piękny park zagłuszył chaszczę i chwasty, sadzawki porosły rzesą i mulem, a Bzura — w której ongiś kąpiele, ryby, łódki — przemieniła się w cuchnący rynsztok. Na domiar złego gospodarstwo — hodujące niegdyś wyłącznie konie — pod presją potrzeb i wytycznych zmieniło swój profil.

Żale i anse na bok jednak: państwo Pietraszewscy wyrobionym nawykem zakasali rękawy, biorąc się z impetem do przywracania „Kopcowi” dawnego blasku. Pege-rowskie doświadczenia przydały się nadsposzwanie, gdyż sobocki oddział walewickiej stadniny — prócz kilkunastu końskich dwulatków — na 80 hektarach użytków rolnych oraz 50 hektarach łąk i pastwisk hoduje teraz 1.200 tuczników, 200 bukatów i 75 krów.

Dyrektor nie kryje, że radość z odzyskanej Soboty przesłania coraz bardziej żal za utracionym Luszynem. Wiedzą też przecież, że z ich powrotu wyraźnie ucieszyła się większość spośród 60 pracowników gospodarstwa, z których przeważająca część pamięta Pietraszewskich z ich poprzedniej kadencji. Dla wielu też — jak dla Wita Armatysa, sześćdziesięcioletniego gorzalanina, Ormianina z pochodzenia, arcyministra spirytusowców — nalewek — ich powrót równoznaczny jest z odzyskaniem najserdeczniejszych, wypróbowanych przyjaciół.

Jeszcze są na etapie urządzania się, zwłaszcza w domu. Na ścianach już jednak wiszą obrazy i sztychy — z takimi muzealnymi rarytasami, jak oryginalny Kossak z cyklu „Ulan i dziewczyna”. Stoją też meble, w większości stylowe, o dużej artystycznej wartości. Pełno również rodzinnych pamiątek i bibelotów, po-

rozstawianych po bibliotekach, serwantkach i biurkach. Całym tym rozdającym bogactwem obdzielił by można kilka regionalnych muzeów. Otoczenie to jednak — które mogłoby wpędzić w stan zawistnego osłupienia niejednego snoba — jest dla rodziny Pietraszewskich całkiem naturalną i oczywistą oprawą jej domowego życia.

— Niewielu rzeczy dorobiliśmy się w naszym życiu. Toteż za swego rodzaju sukces poczytujemy sobie fakt, że udało nam się przenieść przez nie ten anachroniczny, trącający dziś rodzinną myślą dobytek.

Naturalne i oczywiste to otoczenie, jak i inny jego składnik: buty do konnej jazdy, jest ich — ustawionych karnie w przedpokoju — kilka par, bo innego obuwia inżynier nie uznaje.

— Chociaż, kto wie, czy nie lepiej by je podmienić na gumowce lub walonki — pokpiwa dyrektorowa. — Klan koniarzy pauperyzuje się nam coraz bardziej, coraz też częściej jego przedstawiciele ugnają się za świniami i krowami, coraz mniej czasu mając na kultywowanie tradycji.

Niby to żart, niby biała kpinka — w głosie jednak pobrzmiewa subtelna nutka niechęci do tego świata zewnętrznego, którego granicy nie stanowią już wprawdzie kamienny mur, lecz stanowią ją jeszcze mogą murowane ściany własnego domu. Niechęć do tej zewnętrzności, która w coraz bardziej impertynencki sposób narzuca nowe prawa i nowe powinności.

Splendid isolation? Kto wie, może trochę? Dlaczego? Bo ten świat we wnętrzu nieraz srode dokuczył i dotkliwie zranił? Bo jest coraz bardziej światem rzeczy, a coraz mniej światem wartości?

— Zmieniła się bardzo Sobota — stwierdza z troską Krystyna Pietraszewska. — Nie tylko zewnętrznie. Nie mam nic przeciwko fortunom, które rodzi życiowa mądrość i uczciwa praca, a i pomyślny splot okoliczności. Zie jednak, gdy pieniąż staje się fetyszem. Dorobkiewiczowie zaczynają dominować swoimi postawami nad całą społecznością, nawet nad tą jej zrówową częścią, dla której pieniąż są zaledwie środkiem, a nie wyłącznym celem. Skrajny materializm prowadzi przecież do groźnej bezdrożności, do kryzysu obyczajów i moralności. Bardzo mnie, na przykład, niepokoi szeregace się i u nas, w Sobocie, pijanstwo, zwłaszcza, że dotyczy ono coraz częściej i młodzieży. Alkoholem to najprostsza droga do degeneracji moralnej i fizycznej narodu.

A więc — odciąć się od tego, odizolować? Może to kopcowy genius loci otacza domostwo niewidoczną granicą?

Jakiejkolwiek by tu jednak pa-dły deklaracje, o odcięciu się od owego świata zewnętrznego nie ma mowy. „Kopiec” jest jego integralnym składnikiem, podobnie jak i mieszkający „Kopca” — na czele z Krystyną i Jerzym Pietraszewskimi, którzy swoją codzienność, uczelnią i ofiarą pracą świat ten przekształcają, aktywnie wpisując się w naszą rzeczywistość.

Zresztą, sama pani Krystyna chętnie schodzi w wiejskie jakże dziś odmieńione, opłotki. Często też — a-głada, nie tylko z potrzeby na rynek — po miejskim placem Zawiszy nazwany — gdzie mieści się centrum handlowo-usługowe Soboty.

JACEK INDELAJ
(Dokończenie nastąpi.)

CO SIĘ KOŁAĆ W LUDZKIEJ PAMIĘCI

leżanka z uczelni, która kończyła równoległe zootechnikę. Po upływie półtora roku ściaga go do Walewic — na swojego zastępcę — naczelnym dyrektorem tamtejszej stadniny — profesor Jan Grabski.

— Wspaniały człowiek i świetny fachowiec. W okresie międzywojennym dyrektor departamentu hodowli koni w naszym Ministerstwie Rolnictwa i Leśnictwa oraz specjalny doradca ministra rolnictwa Francji.

Nowy zastępca bierze się ostro do pracy, dzieląc czas między stadninę a obwód łowiecki Ministerstwa Rolnictwa w Sobocie. Łowiectwo — jego chluba, jego duma. Z dyplomów i dokumentów wynika jednoznacznie, że jest jednym z pionierów, jednym z pierwszych organizatorów łowiectwa w odrodzonej Polsce. Łowiectwo — jego udręka, jego klęska, ale to później.

Przepracował w Sobocie jedenaście lat, przetrzymując trzech dyrektorów walewickiej stadniny. Jego żona prowadziła w tym czasie bażantarnię w Sobocie.

Po profesorze Grabskim nastąpił dyrektorskiej posadzie Witalis Bielecki.

— Typowy dla tamtych lat dyrektor z awansu: przedwojenny koniuszy z Janowa Podlaskiego, ledwie podpisać się potrafił, a i z czytaniem szło mu niesporo, za to jednak — dusza chłop. Świetny dyrektor i dobry człowiek, nadzwyczajnie dobry.

miętnie i lekceważąco lamali zapraszani do Walewic notable, włącznie z najważniejszym z nich — ambasadorem pewnego zaprzyjaźnionego państwa. Wszyscy przed nim portkami trzęśli, prześcigali się z miodem i wazeliną, a tymczasem taki dyrektor Pietraszewski — ośmielał się wchodzić do stolonym gościom w parady i jeszcze jakimiś grzywnami straszyc.

W 1959 roku wysłało go ministerstwo na roczną praktykę do Czechosłowacji. Wyjeżdżał niechętnie, jakby przeczuwając, że jego nieobecność stworzy doskonałą okazję do „odegrania się” na żonie. Faktownie, szkany zaczęły się od zwolnienia Krystyny Pietraszewskiej z bażantarni. Znalazła na własną rękę nową posadę: nauczycielki matematyki, chemii, biologii i historii w miejscowej podstawówce. Do dziś wielu — dorosłych już — uczniów wspomina z sentymentem i bojaźnią jej pedagogiczną pasję i nauczycielską swadę, a nade wszystko — piękną polszczyznę.

Mimo że spotkały ich przykrości, opuszczali — po jedenaście latach — Sobotę ze szczerym żalem. Przenieśli się stąd na rok do Przedsiębiorstwa Hodowli Zarodowej w Waplewie. A potem — w 1961 roku — przysłała kolej na Luszyn w rejonie Gostynina. Umilowany, hołubiony, a teraz — za-tekniiony, chociaż nie stadnina to, lecz nazwykleszy PGR

się: konflikt realny; częściowo realny; konflikt przemieszczeniowy ze względu na przedmiot; konflikt przemieszczeniowy ze względu na podmiot; konflikt utajony i konflikt fałszywy (iluzoryczny) oraz podział konfliktów na konstruktywne i destruktywne ze względu na dominację elementów i cech występujących w poszczególnych typach konfliktów lub konkretnych konfliktach jednostkowych.

ADAM WĘDRYCHOWICZ

KONFLIKT SPOŁECZNY

Mając do czynienia z typologią pewnych zjawisk życia społecznego, nie możemy zapominać, iż jest to zabieg porządkujący, który nie ma swego odpowiednika w czystej postaci w życiu realnym, gdzie mamy do czynienia z procesami i dynamiką tych procesów — czego egzemplifikacją mogą być zjawiska konfliktów społecznych.

„Konflikt społeczny — pisze H. Białyszewski — jest zjawiskiem dynamicznym, jest procesem przebiegającym w określonym czasie i określonej przestrzeni społecznej, wyznaczonej przez wzajemne interakcje i orientacje mniejszej lub większej grupy osób”.

Charakter wyróżnionych stadiów (faz), ich zasięgi społeczny, przebieg i skutki zależne są każdorazowo od szerokiego kontekstu społeczno-politycznego. W życiu realnym trudno z dokładnością geometry oddzielić granice stadiów w danym momencie, tym bardziej iż zawsze będą to granice płynne, w pewnych okolicznościach odwracalne.

dencja do odradzania się konfliktowych (tzn. o-partych na bezpośredniej walce) sposobów rozstrzygnięcia problemów spornych.

Najwięcej odniesień do naszej sytuacji ma charakterystyka stadium pokonfliktowego, którą H. Białyszewski określa jako taką sytuację społeczną, w której nie występuje już typowe dla okresu konfliktu nateżenie sprzeczności napięć i walk, ale wciąż utrzymuje się w świadomości ludzi, zrodzony w okresie konfliktu, znaczny balast urządzeń i wrogosci utrudniający prawidłowy rozwój stosunków społecznych, w którym istnieje ten-

Jako źródło pokonfliktowych napięć wymienia się: pierwsze związane z procedurą rozstrzygnięcia konfliktów i drugie zasadnicze źródło związane ze skłonnością do generalizacji wzorów postępowania i postaw nabytych w fazie konfrontacji — zgodnie z prawidłowością, że doświadczenia ludzkie, ukształtowane na podłożu wcześniejszym, rzutują w sposób istotny na zachowanie się ludzi w sytuacjach późniejszych.

Nie bez znaczenia jest uznawana etyka walki, wpływ ideologii, motywacje, itp.

Odniesienie źródeł związanych z procedurą rozstrzygnięcia konfliktów, oczywiście jest, że rzadko udaje się rozstrzygnąć wszystkie problemy sporne, które poruszały uczestników konfliktów, że wiele ważnych kwestii pozostawia się „biegowi czasu”, a innym — w drodze kompromisu — przydaje się tymczasowo ważność podrzędną, a za-

ŹRÓDŁA

Czytelnik ambitny i ceniący refleksję społeczną z zadowoleniem odnotuje, jako wydarzenie w literaturze naukowej, prace Henryka Białyszewskiego pt. „Teoretyczne i metodologiczne problemy sprzeczności i konfliktów społecznych” — rozprawę habilitacyjną wydaną w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR, w październiku ub. r. (w skromnym nakładzie 100 + 10 egz.).

Walory merytoryczne rozprawy: solidny i nowoczesny warsztat badawczy, dyscyplina metodologiczna, klarowność myśli, a nade wszystko współzbieżność problemów podjętych w rozprawie z ich aktualną żywotnością sprawiają, że praca koresponduje z zapotrzebowaniem społecznym w najszerszym znaczeniu. Jeżeli dodać, że autor sytuuje analizowane kwestie w szerokiej panoramie teoretycznej, korzystając z około 500 pozycji najnowszej literatury światowej przedmiotu, a do ponad 200 publikacji nawizuje bezpośrednio, to przy najwyższych wymaganiach stawianych tego typu rozprawom, czytelnik czuje się usatysfakcjonowany.

Antagoniści i polemisi, zainteresowani problematyką konfliktów społecznych, znajdują w prezentowanej tu rozprawie uporządkowane teoretyczne punkty odniesienia. Oto rozdziały rozprawy: Marksistowska koncepcja sprzeczności i konfliktów społecznych, a koncepcja teoretyków burżuazyjnych; Struktura i dynamika konfliktów społecznych; Sprzeczności i konflikty interesów; Konflikty ról społecznych; Osobowościowe uwarunkowania konfliktów społecznych; Strukturalne i funkcjonalne uwarunkowania konfliktów społecznych w zakładach pracy.

Z uczuciem żalu stwierdzić trzeba, że w procesie komunikacji społecznej dorobek naukowy WSNS trafiał częściowo w ślepe aleje, niż do właściwego adresata, którym powinien być nie tylko aktywista partyjny, ale każdy docieklivy czytelnik, a zwłaszcza osoby publiczne; takim od-

biorcem rekomendowałbym pracę H. Białyszewskiego, na którą, mam nadzieję, wydawnictwa i autor nie pozwolą nam długo czekać.

Trudności — których nie sposób uniknąć przystępując do zdefiniowania terminu i pojęcia „konflikt społeczny”, mają nie tyle charakter logiczny co przedmiotowy i wynikają z samej natury i filozofii konfliktów. W tym kontekście za szczególnie udane można uznać propozycje typologiczne H. Białyszewskiego.

Rezygnując z zamiaru prowadzenia czytelnika po tropach, którymi kroczy H. Białyszewski, odnotuję, że podaje różne typologie konfliktu społecznego i rozważa kolejne relacje pojęć: konflikt społeczny — konkurencja — rywalizacja — sprzeczność — agresja — walka — wrogość itp. Do najciekawszych typologii konfliktów należy zmodyfikowana przez Białyszewskiego propozycja R. Dahrendorfa według podmiotów konfliktogennych i stosunków między podmiotami.

Równie interesująca jest typologia konfliktów według kryterium treści — przyczyny: konflikty interesów, konflikty adaptacyjne i konflikty postaw.

Konflikty interesów to konflikty powstałe na tle konkurencji o określone dobra społeczne; materialne (środkii do życia) i pozamaterialne (władza, prestiż społeczny, wartości kulturowe i ideologiczne).

Konflikty adaptacyjne, to konflikty powstałe na tle przystosowania się ludzi do siebie w procesie działania. Dotyczą one sfery motywacyjnej (niechęć do zaakceptowania celów i wartości innej osoby lub grupy), sfery organizacyjnej (złe warunki współpracy) i sfery informacyjnej (nie-dostateczne lub błędne informacje).

Konflikty postaw, to przede wszystkim konflikty powstałe na tle rozbieżności w moralnych ocenach zjawisk i zachowań.

Rozważania o tych kwestiach kończy autor typologią konfliktów według form ich przejawiania

Dalszy ciąg ze str. 1

można żywić. I dokonał tego, wsiewając w warstwę torfu ułożoną na twardym podłożu, nasiona zbóż i roślin motylkowych. Podczas kiełkowania korzenie, nie mogąc pójść w głąb ziemi, musiały szukać pożywienia w warstwie torfu. W ten sposób skomplikowane procesy biochemiczne dokonane zostały przez precyzyjne laboratorium żywych organizmów; martwe organizmy roślin i inne substancje mineralno-organiczne zostały przetworzone na żywe organizmy. Torf został ożywiony i biologicznie przestawiony, dając mieszaninę paszową roślinno-torfową, nazwaną w skrócie przez Frontczaka — „RT”. Badania próbek mieszanek w Okręgowej Stacji Chemiczno-Rolniczej w Łodzi wykazały, iż „RT” zawiera 84—87 proc. suchej masy, 11—16 proc. surowego włókna i od 8 do 12 proc. białka, czyli wartości zbliżone do siana, i może być strawna dla zwierzęcych żołądków.

Mieszanek można było skarmiać na świeżo z dodatkami pasz tręściwych, można ciąć i suszyć, przerabiać na granulki i mączkę. Fakt, że z 1 ha warstwy torfowej (15 cm wysokości), przy wysianiu 500 kg ziarna, można zebrać 1000 ton paszy „RT”, a w ciągu roku zbiór jest sześciokrotny, podczas gdy z 1 ha zbiera się 60 ton kukurydzy, skłonił Rolniczą Spółdzielnię Produkcyjną w Wiskitnie do zastosowania wynalazku inż. Frontczaka w praktyce.

Paszę „RT” karmiono 115 eksportowych byków. Oborowcy Muras twierdził, że pościągane z różnych stron cieleta, postawione na dębowym ruszcu i karmione paszą tręściwą i mlekiem w proszku, zaczęły chorować. Potem dostały „RT” z domieszką sruły. Najpierw nie jadły, później zabrały się do tego z wielkim apetytem. Były zdrowe, przybierały na wadze, przeciętnie kilogram dziennie. Prezes spółdzielni, mgr Stanisław Kozłowski, oświadczył, że paszę „RT” zebrana z trzech hektarów, można by wyżywić bydło w całym województwie mieszkim. Snuł nawet plany, że do produkcji „RT” warto wykorzystywać pokłady torfu w okolicach Rąbienia i płyty lotniska na Lublinku, żeby obniżyć koszty transportu. 6000 ton paszy „RT” z 1 ha równo jest ilości siana zebranego z 300 ha zmeliorowanych łąk, na których można zasiać owies i zebrać 8000 q ziarna.

Eksperyment w Wiskitnie obserwowali liczni dziennikarze. Pisali o tym w samych superlatywach, a zarząd RSP nie protestował. Jednakże wokół osiągnięcia inż. Frontczaka panowała znowa milczenie, jak gdyby naukowcom na niczym nie zależało, albo też chcieli profity ściągnąć dla siebie. A żeby coś się ruszyło, drgnęło, wstrząsnęło sumieniami, napisałem w „Odgłosach” cykl publikacji, świadomie i celowo, na tzw. wariackich papierach, nazywając opracowanie inżyniera sensacyjnym odkryciem i zastanawiając się, czy autor nie powinien kandydować do Nagrody Nobla.

Jako pierwszy sprawą zajął się Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego w Bratoszewicach. Później odezwali się „ochroniarze”, twierdząc, że nie wolno ruszać torfu w okolicach Rąbienia, bo jest tam naturalny rezerwat przyrody. Wkrót-

co okazało się, że tamtejszy torf nie przedstawia żadnej wartości. I zapadła cisza. Nie pomogła szeroka dyskusja na łamach „Polityki”, ani wystąpienie inż. Frontczaka w ogólnopolskim programie telewizyjnym.

Ponad dwa lata później, 22 grudnia 1980 r., w Wydziale Rolnictwa Urzędu Miasta Łodzi odbyła się konferencja prasowa, na której starano się wyjaśnić dziennikarzom, co się dzieje w sprawie paszy „RT”. Otóż WOPR w Bratoszewicach przez cały czas prowadził doświadczenia obserwacyjne w różnych wariantach i układach, skarmiając masę torfu wraz z roślinnością i susz torfową, którego wyprodukowano około 2 ton. W 1978 roku susz jądły bukaty, w 1979 roku — tryki w RSP Dobra Nowiny i byczki w Bratoszewicach, a w 1980 roku — paszę pod obiektem postaciami jądły byczki w RSP Dobra Nowiny i we wsi Osse, u rolnika Dobrzyńskiego. Bratoszewice stosowały także torf w kiszczkach.

Okazało się, iż w pierwszym rzucie zwierzęta jedzą „RT” dość chętnie i nie ma różnic w przyrostach wagowych. Później pozostawiała „niedojadą”, dochodzące nawet do 60 proc., w tym również dodatki pasz tręściwych. Fachowcy doszli do wniosku, że rośliny siane w torfie dają zróżnicowany stopień przenośności masy korzeniowej, co z kolei zależy od składników torfu. Stwierdzono jednakże, iż w 1 kg świeżej mieszanek „RT” znajduje się 0,32 jednostek owsianych i 1,6 g białka, natomiast w suszu — 0,63 jednostek owsianych i 1,4 g białka. Dla porównania w 1 kg mieszanek tręściwej „B” jest 1 jednostka owsiana i 1,30 g białka. Tak więc przy skarmianiu suszem „RT” przyrost dzienny bukatów jest o 30 g wyższy i uzyskuje się 25 proc. oszczędności pasz tręściwych. Ale rachunek ekonomiczny się nie zgadza, ponieważ z 10 ton torfu uzyskuje się 2 tony suszu. Wliczając koszty transportu torfu z Bełchatowa, wożenia go do suszarni oraz wartość wysianych nasion — koszt 1 kg suszu równa się cenie 1 kg paszy tręściwej.

Fachowcy z WOPR określili wyniki swoich doświadczeń negatywnie, z wyjątkiem suszu, ale bez uwzględnienia tzw. wskaźnika strawności, bo tym mieli się zająć naukowcy z Instytutu Zootechniki w Krakowie.

Z Krakowa przybył do Łodzi specjalny wysłannik, dr Żurek.

Oświadczył on, że sam nie robił doświadczeń, ale za to starał się zebrać literaturę na ten temat. Wie na pewno, że torf z Łękańska pod-

dano identyfikacji co do składników w odpowiednim instytucie. We Wrocławiu prowadzi się badania nad „esencją” składników torfu, bo najlepsze są substancje wydobycze, one pełnią rolę stymulatora. Lepiej wziąć garść składników, niż obelgać żołądki zwierząt szczątkami martwych torfowej, piaskiem i innym paskudziwem. Dr Żurek

stwierdził dalej, że w medycynie ludzkiej stosuje się preparaty torfowe, np. przy operacjach oczu, a na organizmy zwierzęce oddziałują one też dobrze, stymulująco. Drożdże paszowe ze spreparowanego torfu służą w RPN jako znakomite preparaty do kiszczek. Jeżeli natomiast chodzi o żywienie zwierząt, to zależy od torfu, czy jest słabiej lub silniej rozłożony. Jak jest słabo rozłożony, to ma więcej węglowodanów i łatwiej chemicznie lub termicznie. Inż. Frontczak proponuje dokonywanie tego w sposób naturalny, biologiczny — przyp. R.B.). Dr Żurek jest zdania, że przy skarmianiu torfu w stanie surowym strawność jest bardzo niska, bo wartość energetyczna 1 kg torfu równa się wartości 1 kg słomy. Po dwóch latach badań wskaźnik strawności okazał się niezadowalający, ale w Instytucie Zootechniki trzeba przez dwa miesiące porządkiem leżeć wyniki, bo czym prześle się je do Łodzi. W Instytucie karmiono byki w dwóch grupach, dając w paszy 25 proc. i 50 proc. suchego torfu. Te byki, które dostawały więcej torfu, były szersze i miały schorzenia skóry, rdzenia też będą przesłane.

Następnie dr Żurek oświadczył, że dziennikarze z gazet codziennych i z jednego tygodnika, którego tytułu nie pamięta (chodzi o „Ogłosy”, ale to za daleko od Krakowa — przyp. R.B.) niepotrzebnie narobili szumu i mocno przesadzili, podając niezgodne z prawdą dane. Według wyliczeń bowiem byki nie przybierały na wadze po 1300 g dziennie, ale przeciętnie po 730 g, a inne zaledwie po 500—600 g i tylko 66 poszło na eksport, reszta zaś zmarniała.

Dr Żurek był w RSP w Wiskitnie, ale nie sprawdził, skąd się wzięły różnice. Otóż, w tym czasie inż. Frontczak popadł w konflikt z zarządem i odszedł ze spółdzielni. Niebawem z RSP w Wiskitnie odszedł zarząd, łącznie z prezesem Kozłowskim. Dr Żurek nie chce się wypowiadać do końca na temat karmienia zwierząt torfem. I słusznie, bo Instytut Zootechniki nie prowadził badań nad suszem „RT” który daje najlepsze efekty oraz nie karmił mieszanek „RT” drobiu.

A co sądzi o tym wszystkim zaproszony na konferencję prasową inż. Stanisław Frontczak? Inżynier twierdzi, że otrzymał już pełny patent, że wszystkimi prawami, na mieszanek „RT”, ale badania prowadzi się nie zgodnie z treścią opisu. SGGW stosowała mechaniczną domieszkę „RT” bez żadnych efektów żywieniowych, byki tam nawet zdychały, ale nie dziw-

no, skoro do torfu dosypywano nawozy sztuczne! W okresie nasilonych opadów wartość świeżej mieszanek „RT” jest niższa. Ale wolno ją suszyć tylko w temperaturze 70—80 st. C. Ponadto ważny jest skład nasion wsiewanych do torfu, mu-

z zagranicy i nie życzy sobie publikacji wyników badań bez jego zgody. A że te wyniki są często negatywne, to wina WOPR i Instytutu Zootechniki, które nie dopuszczały go do współpracy. (Ośrodki te powinny, być może, sprawdzić, czy autor nie dokonał modyfikacji i zmian w patencie — przyp. R.B.).

Frontczak opuścił salę, wymawiając się złym stanem zdrowia. Nie ujawnił też, gdzie konkretnie karmi się te tysiące zwierząt mieszanek torfową jego pomysłu. Przedstawiciele WOPR i dr Żurek przyznali jednak, że jest to możliwe. Przychodziło do nich wiele pism od zainteresowanych. Kierowno je pod adresem inż. Frontczaka. Wiadomo, że RSP Dobra Nowiny chciała nawet wydzierżawić zwalę torfu koło Bełchatowa. Hodowlę bydła na mieszanek „RT” prowadzi się w okolicach Babimostu i w województwie łęczyńskim.

Co zaś do zarzutów inż. Frontczaka, to Instytut Zootechniki zapraszał autora do siebie, ale ten nie przybył. Stał natomiast napastliwe pisma, które nie zachęcały do współpracy. Doświadczenia prowadzone, zanim inżynier uzyskał patent, ale teraz w instytucie nie wiedzą co jest w patencie.

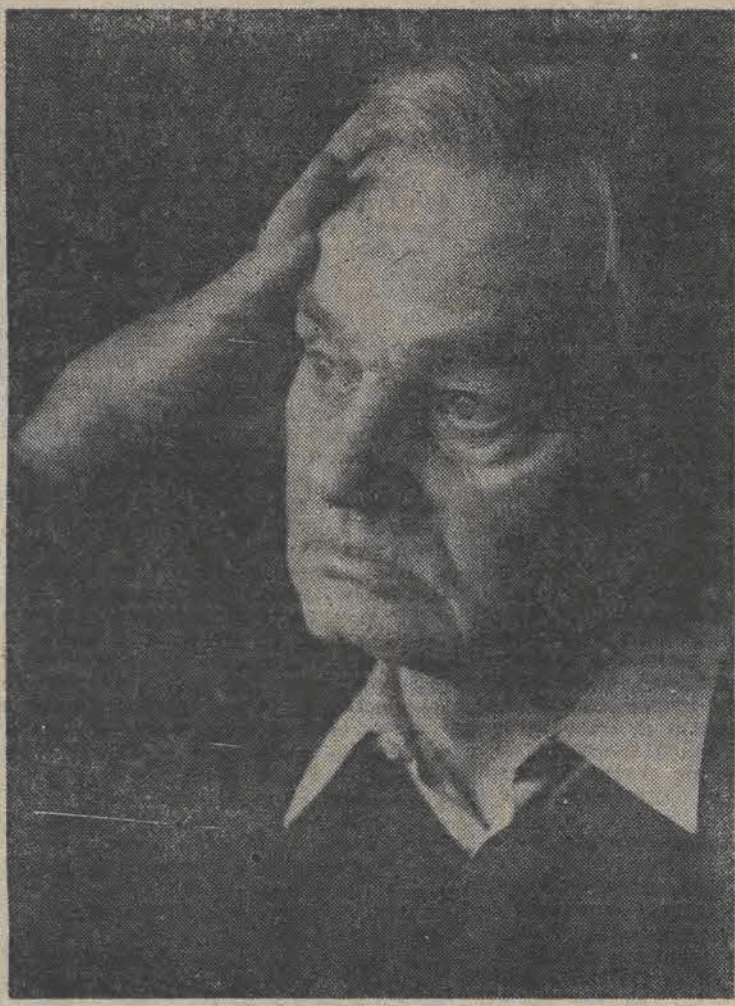


Foto: R. Łuczyszyn

rolników i 68 hodowców brojeńców i niosek. U bydła stwierdza się pobudliwość apetytu: zwierzęta zjadają wszystko łącznie z dodatkami suszu „RT”. Inż. Frontczak stwierdził, że ma propozycję zakupu licencji

WOPR uzyskał z Urzędu Patentowego odpis i jedna z wersji ich doświadczeń była zgodna z opisem Frontczaka. Najpierw utrzymywano z autorem ścisłą współpracę, ale potem zaczął on chodzić do pracow-

ników WOPR prowadzących doświadczenia i zmieniał technologię. Powiedzieli mu więc, że by sam tego nie robił i przestał wreszcie mącić, bo to dezorganizuje pracę i podnosi koszty.

Instytut Zootechniki w Krakowie otrzymał na badania znaczne fundusze, których dr Żurek nie mógł ujawnić, ale wyniki są negatywne. Jak to się więc dzieje, że w kraju hoduje się na mieszanek „RT” tysiące zwierząt, i to zdrowo, z dobrymi przyrostami, a w instytucie wychodzi to tak kiepsko? Czy torf to martwica? A może martwica opanowała co innego? Może jest to po prostu niezuchalica i nieudolność w działaniu? Bo sam dr Żurek stwierdza, że np. niezłe wyniki uzyskano w karmieniu świń tzw. gitią — rozdrobnioną substancją z dna jezior. Przyrosty były dobre, ale bardzo mała wodochłonność mięsa, które nie nadawało się na... wędliny.

Pomysł inż. Frontczaka, chociaż w innej formie, prezentuje dzisiaj w RSP w Wiskitnie. Jest tam nowy prezes, pan Szewczyk, doktor biologii. Prezes Szewczyk doszedł do wniosku, że torf można wykorzystywać jako dodatek, czyli tzw. nośnik do produkowanego w Wiskitnie koncentratu mącznikowo-mineralnego. Dotychczas do 10 kg koncentratu dodawano 1 kg sruły zbożowej. Obecnie z powodzeniem można dodawać torf i w odpowiedniej temperaturze uzyskać znakomity granulat. Rocznie, zamiast 1000 ton sruły, można dodawać do koncentratu mącznikowego 1000 ton torfu! Wartość paszy jest ta sama, a cena niższa!

Podczas przechowywania ziemiaków w kopcach sruły slegają 30—40 proc. W Wiskitnie połączone surowe ziemiaki z surowym torfem, po czym zrobiono z tego mieszankę i wysuszone. Uzyskaną w ten sposób paszę, której 30 proc. stanowi torf, można przechowywać latami i podawać ją w dowolnej formie. I co najważniejsze — jedzą ją z apetytem świny, przybierając odpowiednio na wadze. Jeszcze raz praktycy ze spółdzielni wyprzedzili naukowców. Tylko, że spółdzielnia będzie teraz musiała słono zapłacić naukowcom, żeby ci dopuścili nową paszę do żywienia zwierząt. A ile lat upłyło, zanim naukowcy przeprowadzą badania?

W całej tej sprawie najbardziej podoba mi się stanowisko dyrektora Wydziału Rolnictwa, Mateusza Zawadzkiego, który oznajmił, że do inżyniera Frontczaka należy odnieść się z pełnym szacunkiem i nawiązać z nim szerszą współpracę. Ale czy jest to wyłącznie sprawa inżyniera Frontczaka i kwestia dobrych stosunków między ludzki? Wydaje mi się, iż w czasie, gdy brakuje nam zboża, warto przynajmniej produkować susz roślinno-torfowy, który w żywieniu daje najlepsze wyniki. Wiem, że np. na środkowym Wybrzeżu buduje się kopalnie torfu dla celów ogrodniczych i że deficyt tego podstawowego materiału do uprawy warzyw będzie się pogłębiał. Tymczasem w okolicach Bełchatowa leżą olbrzymie pokłady torfu nadającego się na paszę. Gdyby tam właśnie, unikając kosztownego transportu, założono plantacje mieszanek „RT” i zbudowano suszarnie, produkcja suszu stałaby się opłacalna. W ten sposób można by zaoszczędzić setki tysięcy ton sruły zbożowych. Mam nadzieję, że nie znajdzie się dziś taki mądry, który uzna, że kupowanie zboża z granicy jest korzystniejsze.

RYSZARD BINKOWSKI

chowania podporządkowuje wartościom i dobrom uznawanym za nadrzędne, np. dobro wspólnoty narodowej pokoju, niezawisłości.

Nie można jednak zapominać, że rozwiązanie jednego problemu społecznego może powodować powstanie nowych, dotychczas nie bulwersujących stosunków międzyludzkich.

Rozwiązanie konfliktu — a lepiej powiedzieć: zredukowanie potencjału i wybór łagodniejszych

się w stosunku rywalizacji osoby i grupy społecznej, kosztem normalizacji życia społecznego; jeśli doświadczenia ukształtowane w sytuacjach wcześniejszych, nacechowane były przyjaźnią, współpracą i zaufaniem, preferuje się łagodniejsze środki i metody walki; jeśli — przeciwnie — doświadczenia społeczne ukształtowane były w warunkach podejrzliwości, braku wzajemnego zaufania i w warunkach kamufażu, tym łatwiej

czeń na zachowanie się ludzi także w stadium gwałtownego konfliktu i wpływ tych doświadczeń na przebieg i charakter normalizacji stosunków w fazie konfliktowej.

Kluczowym czynnikiem, wpływającym na przebieg i natężenie konfliktu we wszystkich jego stadiach — jak podkreśla R. Dahrendorf — jest społeczny układ regulacji konfliktów i napięć społecznych, funkcjonujący w danym systemie społeczno-politycznym i w danym kraju. Mimo, że H. Białyszewski nie podjął w swej rozprawie kwestii wpływów systemów regulacji na przebieg konfliktów i ich natężenie, co wydaje się oewna, może usprawiedliwioną konsekwencją, to oczywiście zainteresowania tą problematyką uzasadniają choćby postawienie problemu.

O problemach i społecznych układach regulacji konfliktów może być mowa wówczas, gdy przyjmujemy ich nieuchronność, akceptując pogląd, że ich występowanie jest nieuniknione i może być funkcjonalne w sensie pozytywnym wobec struktury społecznej i że regulacja konfliktów nie jest równoznaczna z ich rozwiązaniem i tłumieniem.

Za R. Dahrendorfem powtórzę, że przez regulację konfliktu „rozumiemy takie formy kontroli, które odnoszą się raczej do przejawów konfliktów, niż do jego przyczyn i zakładają trwałe istnienie sprzeczności interesów i grup interesu”.

Skuteczna regulacja konfliktu wymaga zaistnienia co najmniej trzech czynników wpływających na gwałtowność przejawów konfliktów:

— strony w konflikcie muszą uznać potrzebę regulacji i rzeczywiście istnieć sytuacji konfliktowej to znaczy zasadniczą słuszność rozczeń oponenta;

— strony w konflikcie występują jako zorganizowane grupy, a nie jako rozproszone sily konfliktowe, ich bowiem niespójność uniemożliwiałaby regulację konfliktu;

— strony przeciwstawne w konflikcie społecznym muszą zgodzić się co do pewnych, formalnych reguł gry, które mają stanowić podstawę ich stosunków. Chodzi tu o „obowiązujeące przeciwników normy proceduralne, które nie przesądzały wyniku sporu. Zazwyczaj określają one miejsce i sposób spotkania, sposób postępowania, sposób podejmowania decyzji oraz sankcje grożące za nieprzestrzeganie osiągniętych porozumień, wreszcie sposób zmiany samych reguł gry”.

Większość zasad regulacji konfliktu stanowi modyfikację i kombinację trzech ogólnych typów: pojednania, pośrednictwa i arbitrażu.

W aspekcie społecznym i politycznym wypracowanie układu regulacji konfliktu jest niezbędne, bowiem nawet jeżeli natężenie konfliktu nie słabnie, to jego przejawy powinny być skanalizowane w taki sposób (przy pomocy funkcjonalnego układu regulacji), aby zabezpieczyć jednostkę przed fizycznym zagrożeniem, jakie stwarza bellum omnium contra omnes. Praktyka ostatnich tygodni uzasadnia pośpiech i dążenie do instytucjonalizacji mechanizmów zabezpieczających przed przejawami konfliktów zagrażających strukturze społecznej.

Chciałoby się aby w dyskusjach, rozważaniach i działaniach mających odniesienie do sytuacji w naszym kraju — wszyscy biorący i deklarujący swój współdziałanie w odnowie społecznej kraju pamiętali słowa Cyprylna Kamilla Norwida: „Niedojrzałe — a więc fałszywe pojęcie w Narodzie o Ojczyźnie, jako o czemśd inspirowanym tylko a nie obowiązującym, nadaje ową lotność podrywaną się za lada echem — za lada wykrzyknikiem”. Nie można żywić nadziei kosztem prawdy.

W OSTATNIM STADIUM

środków i metod walki, tworzyć mogą odmienne konstelacje o wciąż niestabilnym potencjale wybuchowym i przemienzeniach na skali gradacji przyczyn, podtrzymywania konfrontacji, z uporczywą i rozbieżną skłonnością nadawania znaczenia jednym, a pomniejszania innych przyczyn.

Trafnie zauważono, że łatwiejsza jest droga przejścia od współpracy i współdziałania do konfliktu, a znacznie trudniejsza, bądź bardziej trudna — od konfliktu i konfrontacji do współpracy i współdziałania.

Drugie źródło możliwych pokonfliktowych napięć stanowią — jak pisze autor rozprawy — ukształtowane w okresie konfliktu nawyki, wzory postępowania i postawy, które kolidują z nowymi pokonfliktowymi (stadium gasnące) wymogami życia społecznego.

wytwarzają się mechanizmy opóźniające deskalację napięć, tym trudniej osiągnąć normalizację. Omawiając wpływ sytuacji, wcześniejszych na zachowania ludzi w sytuacjach późniejszych, autor rozprawy za D. Druchmanem, podkreśla, że na ich przebieg i charakter mają znaczny wpływ:

- długość okresu, w jakim kształtowały się doświadczenia ludzi (im też okres dłuższy, tym większy jest wpływ na późniejsze zachowania);
- długość czasowa uprzedniej sytuacji kształtującej doświadczenia od momentu zachowania się człowieka w sytuacji zmienionej (im ta odległość jest krótsza, tym większy wpływ uprzedniego doświadczenia);
- intensywność wpływu na psychikę ludzką (im głębiej zinternalizowane doświadczenia, tym silniejszy i bardziej trwały ich wpływ na późniejsze zachowania).

Bez trudu można dostarczyć argumentów potwierdzających wpływ wcześniejszych doświad-

Film jest namalowaną wyobraźnią

Rozmowa z WIESŁAWEM MYSLIWSKIM

— Co pan sądzi o filmie „Pałac”?

— Podobna mi się ten film. Uważam, że nie jest on przeciw książce, nie wypacza idei książki. Jest zrobiony zgodnie z jej myślą. Filmowa adaptacja jest lojalna wobec pierwowzoru.

— Ale przecież film poprzez konkret, jakim operuje, wpływa na odbiór, który znacznie się różni od percepcji czytelniczej. Czytelnik może realizować postawę bardziej twórczą — kreuje świat, który jest zarysowany tylko przez pisarza.

— Słowo pisane daje czytelnikowi możliwość rozwinięcia jego własnej wyobraźni, rozumienia, widzenia książki. Ilu czytelników czyta książkę, tyle jest książek. Natomiast film jest ułkonięciem jednej wizji, wizji reżysera. Widz w kinie nie ma możliwości innego widzenia, ponieważ obraz filmu jest widzeniem, wyobraźnią.

— Czy ta różnica zubaża, czy wzbogaca?

— Mnie się wydaje, że zawsze zubaża. To się łączy z istotą sztuki filmowej i sztuki literackiej. Jest to nieuchronne. Chociażby przez tę różnicę wielości i jedności odczytywania książki.

— Poza tym przekaz filmowy jest agresywny...

— Tak. On jest próbą narzucenia własnej wizji, czego nie ma słowo pisane. Różnica między relacją widzi-film, a relacją czytelnik—książka, polega na tym, iż pierwsza jest relacją konsumpcyjną, druga — współtworzącą.

— Dlaczego więc godzi się pan na adaptowanie swojej literatury na język filmu?

— Nie dlatego, żeby mi liczył, iż książka zyska na tym w znaczeniu uzupełnienia jej jakimiś nowymi wartościami. Nie można jednak nie docenić tego, że film jest sztuką masową. To jest wystarczający powód „interesowności”. Film jest w jakimś sensie reklamą książki. Subiektywnie zaś — dlatego zgodziłem się na ekranizację „Pałacu”? Nie dlatego, że chodziło mi o popularność książki, bo nie ma jej od dawna na rynku. Dla pisarza interesująca jest jednak wersja filmowa. To jest nawet ponętne, w artystycznym znaczeniu tego słowa, zobaczyć — podkreślić — zobaczyć, czyżby przez siebie wywołaną. Film jest niemal że spełnieniem tego. Bo film jest namalowaną wyobraźnią.

— Dominantną narracyjną pana powieści jest obraz „Pałacu” — jest cyklem wizyjnymi obrazów, które skupiają w sobie nie tylko refleksję intelektualną. One są także bardzo sensualne. Być może obrazowość tego języka, poza wagą problemu, pociąga filmowców...

— Wszystko, co napisałem zostało sfilmowane, co mnie zadziwia, bo każdy z filmów sprawiał reżyserom niesamowite kłopoty. Nie jest to przecież proza pisana „pod” film; wówczas byłaby w swojej strukturze „pod” strukturę znamionną dla filmu „podprowadzona”.

W swoich poglądach pisarskich jest „antyfilmowy”. Film zmusił literaturę do poszukiwania własnej tożsamości. Literatura, a szczególnie jej formy epickie — jeśli obserwować dzieje literatury w okresie 150 lat — uprawiała nie swoje pola, zajmowała się branżami, które nie do niej należały, była zachlanna i „wszystkoścyczna”, wyręczała wiele dziedzin — socjologię, psychologię itd. Rozwój m.in. socjologii naukowej, psychologii, a w dziedzinie sztuki — filmu, nie zdeprecjonował — jak chcieliby niektórzy — literatury. On ją tylko sprowadził na jej własne podwórko. Zmusił literaturę do bycia sobą. Wobec tego literatura nie może być ani pseudonauką, ani pseudosztuką. Nie może być więc także filmem.

— Czy zauważa pan pokrewieństwo swojego pisarstwa z poetyką oniryczną?

— Dla mnie istota rzeczy tkwi nie w obrazowości utworu, a w jego strukturach, w rodzaju jego logiki. Natomiast poetyka oniryczna jest astrukturalna. Poetyka, która się posługuje jest zawsze pochodną rzeczą od idei, od struktury. A struktura i idea są dla mnie prawie tożsame.

— Świat przedstawiony w pana powieści jest wykreowany — że tak powiem — na zasadzie intymności; umożliwia wejście w głąb. Orientowanie się w jego realiach schodzi na dalszy plan. W pewnym momencie przestaje nas interesować czas i miejsce akcji, a koncentrujemy się na odczuwaniu przeżyć bohatera. Chociaż dla niektórych ważne jest, że w „Pałacu” zbliża się front II wojny światowej.

— Skąd ta konkretyzacja? Ja napisałem, że wojna nadchodził z Wschodu, ale w Polsce wojny nadchodziły albo z Wschodu albo z Zachodu. Kiedyś tam z południa. Staralem się realia historyczne ograniczyć do funkcji symbolicznej. Natomiast wiele osób wmawiało mi, że rzecz się dzieje w 1945 r.

— Nieporozumień wokół filmu jest sporo, tak jak wokół książki. Dotyczą one nie tylko realiów, ale również rozumienia utworu.

— Może to wynika z przyzwyczajenia naszej kultury do umiejscawiania wszystkiego w czasie, nadawania wszystkiemu odpowiedniej wartości, konstruowania rzeczywistości poprzez nazywanie i przyporządkowanie sensom? Jesteśmy przyzwyczajeni do logiki myślenia przyczynowo-skutkowego, bardziej diachronicznego, niż synchronicznego.

— Tak. Jesteśmy niewolnikami myślenia historycznego do tego stopnia, że nie jesteśmy w stanie wyjść w myśleniu poza kategorie historyczne. To jest bardzo widoczne, kiedy twórca domagał się wyjścia poza historię. Stąd wiele różnych nieporozumień przy ocenach „Pałacu” literackiego, które kontynuowane są przy filmie. Nieporozumienia tak ewidentne, że zdumiewające. Ale jeśli ktoś chce, żeby to się działo w 1944 r., 1945 r., ma prawo chcieć. Tak jest widocznie ustawiona jego wyobraźnia.

— Gorsze jest jednak niezrozumienie ani książki, ani filmu — przez część krytyki — odczytywanie jej z pozoru, z zewnętrznej warstwy, z tego co jest dzianiem się. Myślenie większości krytyków zatrzymuje się na tej warstwie, a więc na tym, że oto wchodzi pasterz Jakub, przeobraża się w jaśnie pana i osiąga jego tożsamość. Oczywiście byli także krytycy, którzy odczytywali utwór bez reszty, odczytywali to, o co mi w nim chodziło, a więc mam prawo powiedzieć, że jednak chodziło mi o coś więcej niż tylko przeobrażanie się Jakuba w jaśnie pana, że nie są to tylko moje intencje.

— Dla mnie „Pałac” jest przypowieścią, alegorią losu człowieka. Nasze życie składa się jakby z wielu komnat, jak w pałacu. Wędrujemy od jednej do drugiej. Niektóre z nich omijamy inne są nam niedostępne, w jeszcze innych przebywamy jakąś część życia. Istniejemy wśród bogactwa rekwizytów, którymi umeblovane są kolejne pokoje pałacu. Często „meblujemy” nimi także swoje wnętrza. W tej interpretacji mieści się — jak

sądzę — cała złożoność relacji, w jakie wchodzimy w świecie. Np. scena z zegarem, jedna z piękniejszych w utworze, obrazuje stosunek człowieka do czasu. Jest to kapitalny problem — odwieczne marzenie człowieka, by zatrzymać czas, bunt przeciw przemijaniu, wobec którego jesteśmy całkowicie bezradni. Co pan myśli o tej interpretacji — jak sądzę — jednej z wielu?

— Jest to odczytanie utworu w płaszczyźnie egzystencjalnej. Pisząc książkę uwzględniłem i to, żeby była ona opowieścią o losie człowieka. Podkreśliłbym tylko fakt, iż ten los dokonuje się w pewnym układzie społecznym, nie jest on czymś wyabstrahowanym. Każdy los ludzki jest zarazem losem egzystencjalnym i społecznym. Tak diametralnie różne środowiska, przez które przechodzi bohater, mogą symbolizować dwa skrzydła ludzkiego losu — nędzy i bogactwa, nie tylko w znaczeniu społecznym, ale i duchowym. Przetoczenie się bohatera z jednej strony na drugą jest jakąś syntezą ram, w których dokonuje się los człowieka.

— Jest to uchwycenie możliwości, szansy zmiany swojego losu wejścia w inny świat...

— Każdy z nas marzy — obojętnie jakich dobiera symboli — o szczęściu. Każdy ma swój „pałac” jako model szczęścia.

— Wracając do pani interpretacji chce ją nieco uzupełnić o płaszczyznę społeczną, ponieważ tutaj było najwięcej nieporozumień. Nawet ostatnio ukazała się recenzja p. Cezarego Wiśniewskiego w „Kulturze”, który z filmu, a sądzę, że i z książki, nic nie zrozumiał. „Pałacowi” trzeba postawić właściwe pytanie, jeśli chce się utwór poznać. Jednym z tych pytań jest pytanie o finał przeistaczania się Jakuba. Dlaczego ten proces kończy się katastrofą? Ponadto nie to jest ważne, że Jakub przeistacza się w jaśnie pana, tylko w jakiego jaśnie pana. Ten człowiek, który wychodzi z ludu i niemalże wnosi w pałac nagromadzone pragnienie społecznej sprawiedliwości, przychodzi jako odnowiciel, jako rewindykator, a kin się staje?

— Jest to jednocześnie przejście przez czyszczenie wszelkich doświadczeń. Niosącemu ze sobą wielowiekowe doświadczenia swojej klasy, Jakubowi — do pełnego poznania swojego człowieczeństwa — brakowało przejścia przez doświadczenie tej klasy, która była symbolem szczęścia. Finał jest rezultatem skumulowania się możliwości pełnego doświadczenia własnego człowieczeństwa.

— Ostatni błysk nadziei pojawia się w scenie balu, gdy Jakub proponuje księżnej ucieczkę. Jeszcze wierzy, że przez miłość może się z tego wyostać. To jest też iluzja, bo ucieczki od własnej osobowości, od własnego człowieczeństwa — nie ma.

— Mam prawo zatem mówić, że o tym jest książka, a nie, że mi się tak zdaje, ponieważ niektórzy tak ją odczytali, bez żadnych moich sugestii.

— Poprzednie poruszyliśmy sprawę historycznego myślenia. Jakie ono — pana zdaniem — ma znaczenie dla twórczości artystycznej?

— W aspekcie obywatelskim jest to wielka sprawa, ale w aspekcie twórczości, wyzwolenia wyobraźni, jest to lańcuch, do którego wyobraźnia jest uwiązana. Np. Gombrowicz tak bardzo protestował przeciwko historycznemu myśleniu, tak bardzo chciał się od niego oderwać.

— Pragnął wiecznej niedojrzałości...

— ...szukał modelu protestu.

— Myślenie etapowe, jakby los ludzki liczył się tylko od roku do roku jest bardzo groźne, bo w ten sposób każde pokolenie musi zaczynać myśleć od początku, każde pokolenie myśli na swój użytek. I tak dochodzimy nie do kultury integralnej w znaczeniu czasu, tylko do kultury wyłączonej pokoleniowej. A taka kultura bierze się z megalomańskiej wiary w możliwość poznania. Są ludzie, którzy wierzą w to, że stać ich na poznanie. To jest pycha, a pycha ogranicza możliwości poznania. Człowiek musi mieć świadomość, że poznanie jest dramatem, nie mającym końca dramatem.

— Na tym chyba polega tragizm człowieka. Nam się wydaje, że jesteśmy najważniejsi w świecie i możemy wszystko. A tak naprawdę możemy bardzo niewiele, a na pewno są granice...

— Nasz dramat bierze się ze styku wiary i niemożności. Ale dla wielu ludzi znamieną jest pycha poznawcza. Nie mają pokory. Nie mają dostatecznej wiedzy na temat swojej bezradności.

— To jest pozytywistyczne ufanie w ogromne możliwości człowieka.

— Tak, to jest również rezultat naszej epoki.

— Zjemy w epoce pychy poznawczej. Wyglądaliśmy na księżycu i co z tego? Pycha epoki jest szczególnym rodzajem samopocieszenia się, wynika z permanentnie narastającego w nas lęku przed przyszłością świata. Stąd buńczuczność poznawcza, jako pewnego rodzaju narkotyk radości.

— Na zakończenie naszej rozmowy proszę, by pan zechciał odpowiedzieć na pytanie — po co istnieje sztuka?

— Sztuka jest po to, by dać świadectwo pojedynczemu człowiekowi.

— Sztuka nie jest ani przeciwieństwem nauki, ani siostrą nauki, ani czymś wobec niej paralelnym.

— Sztuka jest po to, żeby zachować to, co ginie bezpowrotnie.

— Sztuka jest po to, żeby dać świadectwo każdej ludzkiej istocie. Ale to brzmi trochę patetycznie...

— Nie. Czasem wstydzimy się swoich uczuć i nazywamy to patosem.

Rozmawiała: KATARZYNA MODRZEJEWSKA

„PAŁAC” WYKREOWANY

Rozmowa z TADEUSZEM JUNAKIEM

— Film pana jest dziełem osobliwym i wyjątkowym w polskim kinie. Zdobył już wiele laurów i uznanie krytyki. Jest jednak, co tu ukrywać, trudny w odbiorze, nie trafiający w upodobania tzw. masowego widza, wychowanego na telewizyjnej strawie. Nie schlebia pan ani miłośnikom rozrywki, ani zwolennikom efektywnej publicystyki, tak u nas modnej ostatnimi czasami.

— Nie można na dłuższą metę uprawiać kina monotematycznego. Przewodzi to do kompletnego wyjątkowości, do zniszczenia tego co żywotne i cenne w twórczości filmowej. Koczytencja dwóch nurtów czyli tzw. kina moralnego niepokoju oraz kina wyobraźni, kina kraczyjnego, jest zjawiskiem pozytywnym. Kino wyobraźni objąć może znacznie szersze niż doraźna publicystyka obszary indywidualnego i zbiorowego doświadczenia. Nie wkraczając bezpośrednio i dosłownie w aktualną rzeczywistość, stanowi refleksję na temat kondycji ludzkiej w każdym wymiarze. Coś z tego chciałem wyrazić w „Pałacu”.

— O ile rozumiem, jako twórca opowiadał się pan za kreacją filmu?

— Oczywiście. Osobiście nie widzę dla siebie innej perspektywy. Opis realiów nie daje, nie stwarza żadnych nowych wartości. Jest oczywistością. Rzeczywistość ekranowa stanowi integralny układ rządzący się własnymi prawidłowościami. Cegielki budujące ów układ zostały z rzeczywistości obiektywnej, ale przetworzyła je, i scaliła w nową jakość, subiektywną wizję autora. Te ekranową realność współtworzą cząsteczki obiektywnego świata, smu, marzenia itd. Wszystkie jej elementy składowe są „aktywne” i znaczące. Świadomość tego jest dla mnie szalenie ważna, nawet jeśli w praktyce nie wszystko się udaje.

— W każdym razie „Pałac” nie można traktować jako zwierciadła świata obiektywnego.

— Jest zatem ten film próbą realizacji formuły kina kraczyjnego...

— Tak został pomyślany. Trudno mi w tej chwili orzec, w jakiej mierze osiągnąłem to, na czym mi zależało. Już pierwsze dość długie, bo dwuminutowe ujęcie: obraz rozwidzonego drzewa, człowieka z drewnianą hętką i kręgu owiec, sygnalizuje „inność” mojego filmu, wprowadza w jego konwencję. Od razu wiadomo, że nie ma tu co szukać realizmu. Chciałem osiągnąć całkowitą subiektywność ekranowej wizji świata. Wszystkie elementy filmu zostały podporządkowane temu zamiarowi. Wymagało to oczywiście bardzo starannego przygotowania, precyzyjnego opracowania scenopisu, co pochłonęło wiele czasu i wysiłku.

— Mówiąc o wizji subiektywnej, mam na myśli, oczywiście, wizję autorską. Sposób widzenia autora organizuje e-

kranowy świat. I w tym sensie wszystkie elementy tego świata są równoważne: czas i rekwizyt, przestrzeń i aktor. Stanowią cząstki materii filmu, środki którymi posługuje się autor. Materia filmu jest wielowarstwowa i reżyser musi uczynić poszczególne warstwy znaczącymi, nadać im wyrazisty kształt i zorganizować w sensowną całość.

— Przejdźmy do konkretów, do szczegółowych rozwiązań. Może zarysujmy od sprawy w filmie bądź co bądź najistotniejszej: od obrazu, od pracy kamery.

— Współpraca z operatorem, Ryszardem Lenczewskim, miała dla mnie kluczowe znaczenie. Uzgodniłmy wspólnie, że koncepcja zdjęć opierać się będzie na formule niedopowiedzenia. Stąd wzięła się znamieną dla „Pałacu” tonacja lekkiego półmroku, stąd rozwibrowania kolorystyczne, operowanie konturem. Formuła niedopowiedzenia, służebna wobec zasady pełnej subiektywizacji, określiła także sposób świecenia, komponowania kadru itd. Unikaliśmy również autentyzmu, którego pozór stwarza efekt tzw. kamery z ręki. Autentyzm tego rodzaju nie ma, moim zdaniem, nic wspólnego z prawdą. Brzmi fałszywie, ponieważ opiera się na udawaniu. Twórcze, powiadamy, kraczyjne posługiwanie się kamerą, zakłada świadomość określonej konwencji artystycznej, rodzaju umowy między autorem a odbiorcą. Nie ma zatem mowy o jakimkolwiek udawaniu. Mamy prawo mówić o prawdziwie artystycznej.

— Wracając do tematu: w „Pałacu” staraliśmy się w sposób niemal perfidny zachować „normalność” pracy kamery. Wbrew pozorom ruchliwość, film jest niemal statyczny. Tak jakoś odczytałem powieść Myśliwskiego: jako schodzenie w głąb, a nie rozwój. Wcale zresztą nie uważałem, że jest to powieść „filmowa”. „Pałac” zafascynował mnie przede wszystkim swoją wielowarstwowością, swoją głębią.

— Intensywność wizji „Pałacu” bierze się w znacznym stopniu z oryginalnej koncepcji czasu i przestrzeni...

— Muszę się tu przyznać do kulturowania pewnego ideału. Chodzi rzecz jasna o ideał filmowy. Przed wieloma laty, zanim jeszcze zacząłem studia w Szkole Filmowej, zobaczyłem w jakimś klubie „Zeszłego roku w Marienbadzie” Resnaisa. Film ten zrobił na mnie ogromne wrażenie i zaciążył nad moją wyobraźnią. Chciałem z operatorem obejrzeć go jeszcze raz, ale okazało się że nie ma już w Polsce żadnej kopii. Resnais zbudował układ niezwykle kunsztowny, oparty na wyszukanej, a zarazem nośnej w znaczeniu koncepcji czasu i przestrzeni.

— W „Pałacu” można niewątpliwie odnaleźć echa fascynacji „Marienbadem”. Wprowadziłem nawet charakterystyczną dla tamtego filmu pozycję pałacu i parku. Czas w „Pałacu” nie ma naturalnie nie wspólnego z czasem rzeczywistych wydarzeń, z relacjami przyczynowo-skutkowymi. Właściwie manipuluję czasem podobnie jak innymi elementami materii filmowej, jak przestrzenią, aktorem, rekwizytem, kostiumem, dźwiękiem, światłem itd. Czas podlega w „Pałacu” nieustannym transformacjom. Służę wspomnianej już wielokrotnie subiektywizacji. Przestrzeń, niezależnie od perspektywy powietrznej,



„Pałac” w reżyserii Tadeusza Junaka wg. powieści Wiesława Myśliwskiego

potrakowaliśmy płasko. Chodzi mi przede wszystkim o dramaturgię i znaczeniową funkcję przestrzeni. Istotne dla filmu znaczenia wpisane zostały w pierwszy plan. Przestrzena głębia pałacowych korytarzy stanowi jedynie tło, nie niesie samoistnych znaczeń. Sam pałac tworzy układ zamknięty.

Chciałem w ten sposób powiedzieć, że dla mojego bohatera nie istnieje wyjście. Nie ma dla niego wyzwolenia, oczyszczenia.

„Pałac” jest nie tylko filmem o doświadczeniach zbiorowych, ale i rodzajem swoistej psychodramy, zstępowaniem we wnętrze człowieka, w kłębowisko instynktów, nienawiści, kompleksów, pragnień, tęsknot, nadziei. Jest filmem o wiecznym niespełnieniu i nienasyce, o człowieku, który z rozpaczą i nadzieją zarazem staje wobec swego losu.

— Wspomniał pan o zauroczeniu „Marienbadem”, a chciałby pan przyznać się jeszcze do jakichś innych źródeł inspiracji lub wpływów?

— Najchętniej awangardowych. Dużo zawdzięczam uczestnictwu w warsztacie Formy przy szkole filmowej. Doświadczenia wyniesione ze współpracy z J. Robakowskim, W. Brzuskim, R. Waśko, okazały się bardzo przydatne w praktyce profesjonalnej. Może dlatego przykładam tak wielką wagę do formy i rytmu w filmie.

— Powiedział pan już bardzo wiele na temat struktury formalnej „Pałacu”. A który z jej elementów, pana zdaniem, okazał się najtrudniejszy w odbiorze, najbardziej, jak to się zwykło mawiać, kontrowersyjny.

— Wnioski płynące z doświadczeń „pałacowych” są dla mnie bardzo pouczające. Widz skłonny jest dziś zaakceptować niemal każdą umowność narracji, ustawienia kamery, światła, muzyki, każde niemal „udziwienie” formalne, wszystko oprócz zabiegów „odrealniających” postaci aktora. Dla mnie, powiem nieskromnie, największą oryginalnością „Pałacu” polega na odmiennym niż zazwyczaj potraktowaniu aktora, właśnie jako elementu struktury czysto formalnej. I fakt ten dostarczył mi jako twórcy największej, przyznam, satysfakcji.

Chciałem przełamać przyzwyczajenia widza, tradycyjne stereotypy odbioru, ale okazało się to bardzo trudne. Widz filmowy przywykł do bohaterów ukazywanych według wzorców psychologicznych literackiej proveniencji. Widz przywykł ponadto do psychologiczno-emocjonalnych kontaktów z bohaterem, do identyfikacji uczuciowej z jego losem. Tymczasem nam nie chodziło o to by Michałowski wzruszał publiczność swoją historią. Miał być po prostu znakiem plastycznym w kadrze, w którym „działa się” jeszcze wiele innych rzeczy.

Umowność postaci podkreśla także warstwa dźwiękowa. Świadomie zachowałem nierealistyczny, „sztuczny” charakter dialogów oraz pozwoliłem aktorowi utrzymać pewną teatralność gry. Michałowski porusza się w innej niż pozostałe postaci, perspektywicznie dźwiękowej. Mówi cały czas z bliska. Ale, jak zauważyłem, publiczność tego nie odbiera, a przecież jest to ważne dla wymowy filmu. Tego typu zabiegów w warstwie dźwiękowej dokonuje się dość rzadko. Także i w tym przypadku chodziło mi o subiektywizację filmu. „Inność” potraktowania aktora określa w moim przekonaniu charakter „Pałacu” i rzuca na pozostałe elementy formalne.

Nie od rzeczy będzie jeszcze wspomnieć o funkcji kostiumu. Michałowski ma ciagle inny kostium i tylko w scenie teatralnej przywdziewa ponownie strój pastucha. Kostium umownie wyraża etapy postępu kulturalnego. Raz wpadłszy w sidła kultury, bohater nasz nie może już cofnąć się wstecz. Nie ma dla niego powrotu ani wyjścia z tego zaczarowanego pałacu, przed którym się broni i który go fascynuje.

Rozmawiała:
MARIA KORNATOWSKA



Janusz Maria BRZESKI. Z cyklu: Narodziny robota — Sielanka XX wieku, 1933, fotomontaż



Janusz Maria BRZESKI. Autoportret, ok. 1930, fotografia, montaż negatywowy



Kazimierz PODSADECKI. Z cyklu: A to projekt mój tygodnika ilustrowanego, 1933, „Rece mówią...”, fotomontaż

Od października 1980, do połowy stycznia 1981 roku prezentowana była w Muzeum Sztuki w Łodzi ekspozycja (przygotowana przez Janusza Zagrodzkiego) „Janusz Maria Brzeski, Kazimierz Podśadecki 1923—1936”, opatrzona podtytułem „Z graniczy plastyki i filmu”. Na wystawie ukazana została twórczość wywodząca się ze zjawisk określających charakter polskiej awangardy artystycznej lat 20, pozostająca jak cały ruch awangardowy tego okresu we współzależnościach z ośrodkami międzynarodowego życia artystycznego oraz w relacjach ze zjawiskami kulturowymi tego okresu, szczególnie z tak ważnym dla kultury wizualnej okresem międzywojennego rozwoju wyposażenia kultury w techniczne środki masowego komunikowania. Prace prezentowane na wystawie, a także aranżacje ekspozycji, obrazują nie tylko indywidualną twórczość dwojga artystów o rodowodzie awangardowym i aspiracjach wpływu na charakter powstającej w naszym kraju kultury o masowym obiegu. Ukazują one również zjawiska szersze, wyrażające się w dążności twórców uczestniczących w manifestacjach awangardy lat 20 do integracji odrębnych dotąd dyscyplin artystycznych, do tworzenia realizacji plastycznych o różnorodnych funkcjach i przeznaczeniu ich do różnych obiegów kultury, począwszy od wysokoartystycznego aż po masowy. Ekspozycja traktowana jako całość ukazuje również dążenie artystów wywodzących swą twórczość z kręgu oddziaływania impulsów płynących z ruchu konstruktywistycznego — do podporządkowywania owych wypowiedzi plastycznych o różnorodnych funkcjach jednolitemu językowi wizualnemu, „stylowi” traktowanemu przez konstruktywistów jako zasadą budowy dzieła plastycznego. Spójność języka artystycznego, ów „styl konstruktywistyczny”, wynikała z integralnej, opartej na świadomości teoretycznej i ideologii artystyczno-społecznej wizji rzeczywistości, reprezentowanej przez twórców z kręgów konstruktywistycznych. Wizję tę określało przede wszystkim dążenie do zmiany konfiguracji zjawisk ze sfery kultury w stosunku do społeczeństwa, wynikającej z nowych warunków cywilizacyjnych i zaszły już, bądź dopiero intencjonalnych zmian w układzie społecznym. Następuje dążenie do wynikającej stąd tendencji ku zanegowaniu, w rozważaniach teoretycznych i praktyce artystycznej, opozycji pomiędzy sztuką czystą a użyteczną, co wyrażało się miało w tworzeniu sztuki o wysokich walorach konstrukcyjnych, poznawczych i użytkowych, mającej zarazem moc oddziaływania na społeczeństwo. Możliwość tę zapewniało artystom korzystanie z zupełnie nowych, bądź dopiero wypracowywanych specyficznie własnego języka artystycznego, mediów wizualnych takich jak foto-collage, fotomontaż, kino, typografia, ilustracja prasowa czy fotografia. Mediów, które umożliwiały korzystanie przez artystów z odrębnych dotąd systemów budowania znaczeń artystycznych w obrębie ich oddziaływania.

Poza wszystkim wyżej wymienionymi zjawiskami ponadindywidualnymi omawiana ekspozycja ma także walory prezentacji twórczości artystycznej w nie ukazywanym dotąd całokształcie twórczych możliwości, które poprzez swą różnorodność dają dopiero prawdziwy obraz sztuki Brzeskiego i Podśadeckiego.

Realizacje Janusza Marii Brzeskiego były dotąd w ogóle mało znane, natomiast twórczość Kazimierza Podśadeckiego eksponowana była jedynie wybiórczo poprzez prezentację jego fotomontaży na wystawie zbiorowej zatytułowanej „Fotomontaże 1924—1934”, zrealizowanej przez Janusza Boguckiego w Warszawskiej Galerii Współczesnej w 1970 roku. Inna sfera twórczości Podśadeckiego — dokonania artysty w dziedzinie typografii — ukazana została na wystawie opracowanej przez Janusza Zagrodzkiego w łódzkim Muzeum Sztuki w 1975 roku, opatrzonej tytułem „Druk funkcjonalny”.

Twórczość obu prezentowanych artystów, których drogi rozwoju artystycznego biegnęły w latach dwudziestych niezależnie od siebie i która w przypadku Brzeskiego wywodziła się z ekspresjonizmu, natomiast w przypadku Podśadeckiego z futuryzmu i z konstruktywizmu, ukazana została na obecnej wystawie począwszy od ich wczesnych realizacji; ekspresjonistycznych drzeworytów Brzeskiego oraz nieprzedstawianego malarstwa — „kompozycji bezprzedmiotowych” i „abstrakcyjnych” Podśadeckiego. Decydująca jednak o charakterze wystawy stała się prezentacja dziedzin twórczości obu artystów, odmiennych od ich „warsztatowych” realizacji. Prezentacja ich fotomontaży i collage'y, prac typograficznych, ilustracji prasowych oraz działań w sferze filmu, a także dokumentacja aktywności obu artystów przy organizacji wystawy fotografii i popularyzacji filmu eksperymentalnego z okresu ich współpracy przy krakowskim Studiu Polskiej Awangardy Filmowej. Jako decydujące o charakterze wystawy wymieniliśmy te dziedziny aktywności twórczej obu artystów, które w drugiej połowie lat dwudziestych w sposób

decydujący określili charakter całej ich twórczości.

Ewolucja artystyczna omawianych twórców zbieżna była z rozwojem drogi twórczej wielu członków ugrupowań takich jak „Blok”, „Praesens” w latach 20 i 30. Zbieżna była także z tym, co głosił jeden z przewodnich artystów należących do obu wymienionych grup artystycznych — Władysław Strzemiński — piszący w 1936 roku: „Droga sztuki nowoczesnej jest industrializacja sztuki — jest opanowanie maszyny i dostosowanie do jej logiki eksperymentów formy przeprowadzonych wcześniej w plastyce abstrakcyjnej”.

Obaj artyści podejmowali od 1926 roku prace typograficzne, przy czym K. Podśadecki reprezentował nurt najbardziej progresywny w rozwoju

BRZESKI, PODŚADECKI — MIĘDZY AWANGARDĄ A KULTURĄ MASOWĄ

nowej typografii i stosowaniu zasad druku funkcjonalnego na gruncie polskim, stojąc w tej dziedzinie obok członków grup „Blok” i „Praesens”. Kierując się zasadą podstawową dla przekonania twórców nowej typografii o wyprowadzeniu formy układu tekstu z jego treści i funkcji oraz zasadę grupowania i powtarzalności słów, a także stosowania kontrastu barwnego w układzie strony, wykonywał opracowanie graficzne czasopism awangardy takich jak „Zwrotnica” — od 1926 roku następnie „Linia”, a także wydawnictw „Zwrotnicy”, książek zawierających teksty teoretyczne, prozę i poezję Tadeusza Peipera oraz poezje Jalu Kurka. Charakter zainteresowań współczesną zurbanizowaną i zmechanizowaną cywilizacją, obraz fascynacji artystów zjawiskami ze sfery kultury masowej, a zarazem chęci jej współkształtowania, dają prace fotomontażowe i collage obu autorów. W pracach takich jak „Miasto — młyn życia”, cyklach pt. „Profile en face” czy „Amerykańska Ameryka” Kazimierza Podśadeckiego oraz w collage'ach Brzeskiego z cyklu pt. „Sex”, czy fotomontażach z cyklu zatytułowanego „Narodziny robota”, prezentowana była rekwizytoria typowa dla montażu opartych na wykorzystaniu elementów powielanych fotograficznie, montażu powstających w kręgu dwóch kierunków, z których jeden stworzył fotomontaż, a drugi przyczynił się do wykształcenia najbardziej spójnego języka wizualnego dla przekazów korzystających z tej techniki — dadaizmu w jego odmianie berlińskiej, i konstruktywizmu.

Montaż elementów rzeczywistości oraz obrazu fotograficznego wybranych jej fragmentów, stosowany przez artystów od początków XX stulecia w realizacjach plastycznych — począwszy od kubistycznych collage'y poprzez collage futurystyczny i collage oraz montaż dadaistyczny — wynikał z rozbitcia jednostkowej, integralnej wizji świata. Konstruktywizm stanowił pierwszy prąd artystyczny, który podjął w sposób świadomy problem zasady łączenia owych rozbitych elementów rzeczywistości w celu stworzenia nowej, integralnej wizji świata podporządkowanej ideologii wyznawanej przez reprezentantów tego prądu. W fotomontażach realizujących zasady tego kierunku artystyczno-społecznego przeważały takie rekwizyty jak: maszyny, fragmenty wielkich miast, procesy industrializacyjne przedstawiane poprzez ukazywanie

pracy budowlanej i konstrukcyjnej, kino, aeroplany, wojna, motywy obyczajowe, z silnie eksponowanym motywem seksu. Konstruktywizm traktował jednak wszystkie te elementy rzeczywistości przedstawione jako budulec dla jednoznacznie afirmatywnej interpretacji rozwoju cywilizacji przemysłowej oraz procesów opanowania natury przez człowieka dzięki mechanizacji pracy, głosił kult postępu społecznego i cywilizacyjnego.

Twórczość Brzeskiego i Podśadeckiego w dziedzinie fotomontażu nie poddaje się podobnej ocenie. Rekwizyty i sposób obrazowania stosowane w ich pracach bliskie źródłom konstruktywistycznym służyły budowaniu wizji plastycznej, będącej wynikiem opowiedzenia się artystów po stronie jednostki wobec jej zagrożenia przez procesy cywilizacyjne. Często podejmowany temat kina widziany był także z perspektywy indywidualnej jego bohaterów — np. Chaplina czy Harolda Lloyd'a. Autorzy ironizując na temat opinii upowszechnianych w przekazach kultury masowej starali się poprzez burzenie stereotypów wpływać na manipulowaną przez tę kulturę świadomość potencjalnych odbiorców swych fotomontaży. Równocześnie jednak, uznając fotomontaż za środek plastyczny adekwatnie oddający obraz świata współczesnego, posługiwali się nim w ilustracjach wykonywanych dla czasopism konserwatywnego Kuriera Codziennego. Szczególnie dwuznaczna była tu postawa Brzeskiego, wyrażająca się w jego pracach podejmujących tematy sensacyjne w tygodniku „Tajny detektyw”, czy w cyklu collage'y pt. „Sex”, po części ironizujących ze stereotypów przedstawiania tego tematu, a po części wyrażających fascynację autora przełamaniem tabu w tej dziedzinie dokonany na szeroka skalę przez kulturę masową i męską obyczajowość.

I wreszcie film, dziedzina, w której współpracowali obaj artyści w Studium Polskiej Awangardy Filmowej, organizując „Zywe Dzienniki Filmowe” z pokazami cykli fotomontaży Podśadeckiego na ekranie (reklamowane plakatami budowanymi według zasad nowej typografii projektu K. Podśadeckiego), wystawę fotografii i pracując w dziedzinie własnych eksperymentów filmowych. Wzajemne oddziaływanie na siebie fotomontażu i filmu (Podśadecki jako jeden z wielu podkreślał oddziaływanie w Polsce filmu Waltera Ruttmanna „Symfonia wielkiego miasta” na twórców fotomontaży), a także równoległy z nimi rozwój poszukiwania w dziedzinie scenografii teatralnej — podejmowanej także przez Podśadeckiego — wskazać można skróto, wspominając chociażby fakt, iż montaż filmowy Pudowkina, „Kino-Oko” i „Kino-Prawdę” Dżigi Wiertowa czy inscenizacje teatralne Meyerholda i Piscatora określano jako fotomontażowe. Przed Brzeskim i Podśadeckim oraz równoległe z ich dokonaniem w Polsce prowadzili równoległe poszukiwania w dziedzinie fotomontażu, filmu eksperymentalnego i nowych inscenizacji teatralnych częściowo opartych o technikę filmu i fotomontażu tacy twórcy, jak Władysław Daszewski, Mieczysław Szczuka czy Mieczysław Berman.

Odnosnie wyżej omawianych dziedzin wystawa prezentuje zapiski Podśadeckiego na temat filmu, afisze i inne druki reklamujące imprezy filmowe i fotograficzne SPAF, zdjęcia wykonywane w czasie pracy artystów nad filmami, reprodukcje z zachowanych kadrów ze wspólnie przez Brzeskiego i Podśadeckiego realizowanego filmu pt. „Befon”.

I znowu w latach 30, pierwszym okresie dynamicznego rozwoju kultury masowej w Polsce, w twórczości tak Brzeskiego jak i Podśadeckiego, pojawił się obok powyżej omawianych realizacji, nurt twórczości abstrakcyjnej, oderwanej od masowego obiegu. Do nurtu tego należą fotografie abstrakcyjne J.M. Brzeskiego i kompozycje abstrakcyjne — malarskie i reliefowe Podśadeckiego. Cały okres międzywojenny w twórczości obu autorów charakteryzuje oscylacja pomiędzy uczestnictwem w eksperymentach awangardy, a produkcją plastyczną, sytuującą się w sferze kultury popularnej, rozrywkowej. Oscylowanie pomiędzy tymi dwiema domenami kultury, typowe dla wielu artystów wywodzących się z awangardy lat 20, wynikające z postulatów jej przedstawicieli, domagających się artystycznego oddziaływania na masowego odbiorcę, powodowało często, iż ich realizacje plastyczne poddawały się wymogom popularnego obiegu kultury. Omawiana wystawa oraz towarzyszący jej — doskonale wydany i opracowany — katalog, rozstrzygają usytuowanie twórczości Brzeskiego i Podśadeckiego pomiędzy awangardą a kulturą masową, na rzecz indywidualnego charakteru prezentowanego w ich pracach komentarza do zjawisk współczesności. Nawet w pracach dwuznacznych, obu autorów, dostrzegamy jest ich indywidualny wyraz, realizowany choćby poprzez ironizowanie. Widoczne są również własne poszukiwania artystyczne, przeprowadzane w laboratorium eksperymentów i teoretycznych rozważań.

JAROMIR JEDLIŃSKI

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

Impresja o Wacławie Bilińskim

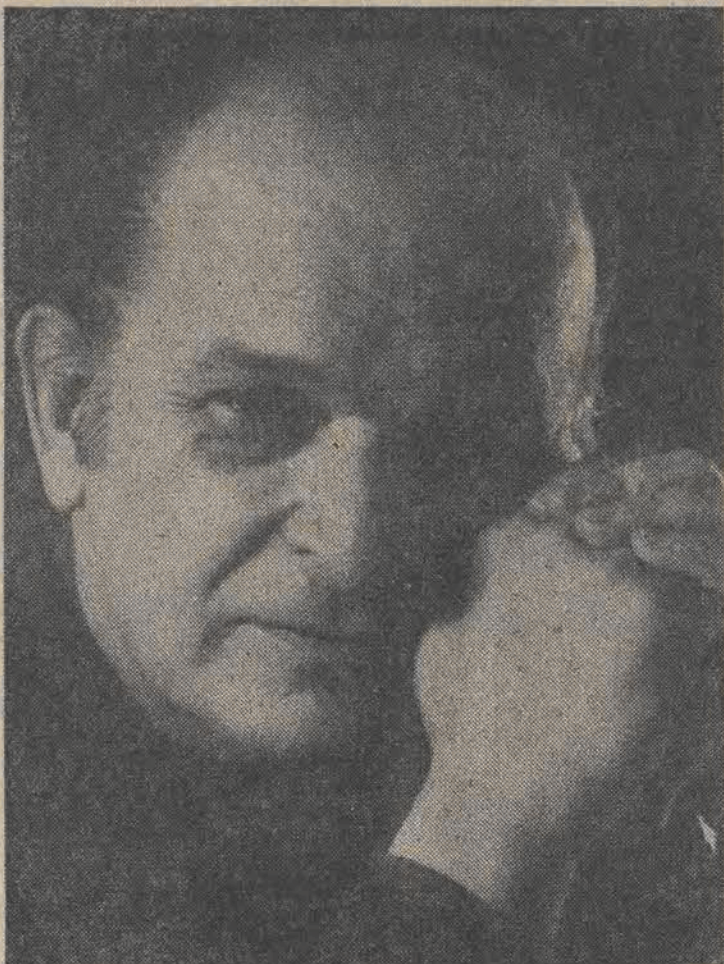


Foto: R. Lucyszyn

Tak się złożyło, że z twórczością Wacława Bilińskiego zetknąłem się stosunkowo późno, lecz opóźnienie to nadrobiłem intensywnie, bo książki jego posiadają nieczęsto dziś spotykaną cechę — potrafią czytelnika zaciekać, przykuć uwagę na dłużej niż wymagałoby tego tylko czas lektury. Ze wnętrzem tego wyrazem są wysokie nakłady, częste wznowienia oraz liczne nagrody literackie. Ważniejsze jednak wydają się wrażenia dostarczane bezpośrednio odbiorcy. I nimi chciałbym się dziś podzielić.

Wacław Biliński należy do pokolenia, które świadectwo dojrzałości (tej formalnej, i tej rzeczystwej) otrzymało w roku wybuchu drugiej wojny światowej. Fakt ten określił życiowe uniwersytety późniejszego pisarza: był murarzem, drwalem, pomocnikiem buchaltera, uczestniczył w robotach przymusowych, a potem z I Armią Wojska Polskiego przemierzył szlak bojowy do Berlina. Nic więc dziwnego, że w dorobku Bilińskiego tak istotne znaczenie posiada wojenne doświadczenie. Dwa momenty interesują go szczególnie: początek wojny (np. „Koniec wakacji”) oraz jej zakończenie (np. „Lato po wojnie”). Można powiedzieć, iż Biliński jest pisarzem „wojennym”, lecz nie jest on pisarzem batalistycznym. Przedmiotem zainteresowania stają się nie tyle same działania wojenne, co wpływ wojennych mechanizmów na ludzkie poczynania, na poszukiwanie i wybór życiowej aktywności. Wojna — to przecież wszechstronna komplikacja życiowej sytuacji, pisarz stara się więc pokazać możliwość przezwyciężenia owej komplikacji, stara się uchwycić szczególną chwilę, od której bohaterowie jego powieści rozpoczynają stopniowy powrót do normalnego życia, ten moment, od którego „bez pośpiechu, ale nieustępliwie” życie zwycięża wojnę.

Jakże istotne jest w powieściach Wacława Bilińskiego pytanie, co przerwanej wojną młodości przyniosą pierwsze powojenne lata, co przyniosą one wyniszczonemu i zmęczonemu narodowi? W „Lecie po wojnie” czytamy: „Wojna to jak wielki pożar, nie wygasa w dniu takim to a takim, o godzinie takiej a takiej. Wojna wygasa pomalutku...” I właśnie powolne wygasanie wojny, długo jeszcze tkwiącej w jej uczestnikach, stanowi stały motyw twórczości Bilińskiego. Mówiąc o tych tragicznych i bolesnych sprawach nawiązuje autor „Wrócić do siebie” do tej tradycji naszej literatury, w której wojna i obronna żołnierska służba związane były z przygodowym romansiem, nawiązuje do tradycji sienkiewiczowskiej — bohaterowie jego powieści w jednakim stopniu uwikłani są w patriotyczne perypetie i w tarapaty miłosne, te ostatnie dość często przedstawiane są zresztą w kategoriach humorystycznych. Powieść przygodowa prowokuje do ujęć sensacyjnych i Biliński chętnie z tego

korzysta, choć oczywiście bez przesady — sensacja służy z jednej strony pobudzeniu czytelniczej ciekawości, z drugiej zaś pozwala wypuklić postawy bohaterów. Wyraźnie to widać na przykład w „Końcu wakacji”, którego osnową stało się zagadkowe wydarzenie w okolicach Wielunia w ostatnich dniach sierpnia 1939 roku, kiedy to na polską stronę przeszedł niemiecki żołnierz, by uprzedzić o terminie agresji. Rekonstrukcja motywów tego czynu prowadzi do rozważań etycznych, lecz nie wyłącznie one determinują postawę niemieckiego intelektualisty, który stara się dramatycznym czynem zademonstrować niezależność ludzi myślących. W powieści tej może najwyraźniej ujawnia się pisarska metoda Bilińskiego, starającego się trafić do czytelnika na różne sposoby: poprzez bezpośrednią narrację, poprzez aluzje do mniej lub bardziej znanych wydarzeń wojennych, poprzez sugestywność obrazu, poprzez odniesienia do symbolicznych wartości kultury i wreszcie poprzez sentencje i cytaty.

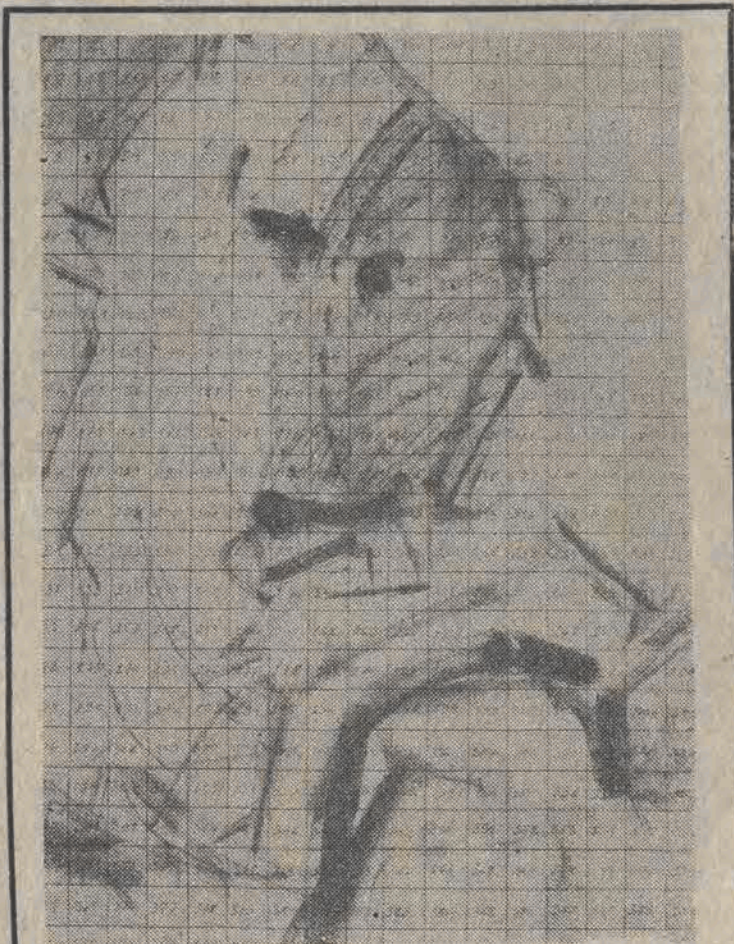
Coraz częściej i coraz bardziej konsekwentnie Wacław Biliński penetruje współczesne postawy moralne, zwłaszcza w środowiskach wysokich urzędników, działaczy gospodarczych, naukowców i artystów (np. „Wypadek”, „Ikony”, „Widoki o zmierzchu”). Jako hasło wywoławcze wspomnianej tendencji służyć mogą słowa jednej z bohaterek „Ikon”: — „Boimy się, że zostaniemy zdemaskowani. Maski. Udawanie. Pozory. Udajemy porządną ludź...” Myślą przewodnią staje się tu wciąż ponawiana próba postawienia diagnozy dotyczącej natury ludzkiej, diagnozy dotyczącej całego społeczeństwa, w którym żyją i poruszają się bohaterowie powieści. Nie chodzi przy tym o łatwe i efektowne uogólnienia, chodzi raczej o wnikliwe (w tym przynajmniej stopniu, na jaki pozwala utwór fabularny adresowany do szerokiego odbiorcy) prześledzenie współczesnej sytuacji obyczajowej, o krytyczny ogląd funkcjonowania instytucji społecznych, wreszcie o wytyczenie kierunku ogólnych dążeń. Zadanie niełatwe, zważywszy choćby na to, że i czasy niełatwe. Biliński nie posiada zresztą ambicji socjologa, nie ma zamiaru proponować wyczerpujących diagnoz, chce raczej przygotować grunt do wnikliwego rozpoznania, zebrać materiał, podzielić się obserwacjami i przemyśleniami z kimś, kto jest czuły na problematykę wewnętrznego zróznicowania naszej społeczności, z kimś, kogo interesują społeczne i psychologiczne uwarunkowania dokonujących się u nas przemian. Jednocześnie nie potrafi oprzeć się pokusie formułowania pytań, wymagających konkretnej odpowiedzi, domaga się zdecydowanych, a nawet ostrych ocen i przewartościowań. Z każdej powieści autora „Nagród i odznaczeń” dałoby się zestawić listę owych pomocniczych niejako pytań, u-

nu rzeczy zdają się wynikać z powiązania sytuacji społecznej z motywacją psychologiczną, czyli — inaczej mówiąc — emocje i namiętności mogą niejako znaleźć usprawiedliwienie w warunkach, w jakich bohaterom powieści Bilińskiego przyszło egzystować, bo nastąpiło coś w rodzaju powszechnie odczuwanego moralnego rozluźnienia czy wręcz kryzysu. Najczęściej zaś występujące, zdroworozsądkowe, pojmowanie świata nakazywałoby po prostu się przystosować. I przeciwko temu — przeciwko mikro skierowane jest dydaktyczne przesłanie utworów Bilińskiego.

Układ zdarzeń przedstawiający losy poszczególnych postaci tak jest konstruowany, by możliwie najdokładniej pokazać dynamikę życia, by uchwycić całe bogactwo zjawisk i faktów, jakie składają się na przeszłość i teraźniejszość poszczególnych bohaterów. Są oni ludźmi pełnokrwistymi, odczuwającymi złożoność, różnorodność świata, chłonącymi zmysłowo otoczenie — niektórzy posuwają się w tym labiryncie z gracją baletnicy, innych życie zwyczajnie przytłacza, gubią się w coraz szybszym rytmie dziejących się spraw.

Moja impresja ogranicza się do prozy Wacława Bilińskiego bo też znamy go przede wszystkim jako „prozaika”. Wypada jednak dodać, iż jest on również autorem utworów dramatycznych, scenarzystą, autorem reportaży literackich oraz adaptacji radiowych i telewizyjnych, a także autorem zdjęć i tekstu do albumu „Łódź, jaką znam”.

W następnym numerze naszego piśma zamieścimy fragment najnowszej powieści W. Bilińskiego pt. „Sprawa w Marsylii” dotyczącej postaci J. Conrada.



ANDRZEJ BARTCZAK
Książka graficzna „RETROSPEKTywa” 1969—1979.

WŁADIMIR BRITANISZSKIJ



Nie jestem myśliwym, lecz geologiem.
Zwierzęt bez potrzeby nie tropię.
Jeśli losia zabielem — głodny byłem.
Jeśli gluszcza — też głodny byłem.

Tak losimi tropami łaziłem,
by losia przed popiołem ostrzec.
Nikogo nie ruszając, gościłem
Tam, gdzie kamyki dziobie gluszcze.

Wy,
którzy śmierci pragniecie zwierzęcia
którzy wiewiórce pozbawiacie oka —
widzę jezioro, widzę z wysoka
lę gładzinę łabędzia!

Wy, co ścisłacie sikorkę w dłoni,
że i dziobka nie widać prawie —
widzę błękitne niebo z dołu,
widzę obłoki zurawie.

W połowie przeszedłem tajgę,
czy coś mi wyrzucił sumienie?
Skrzywdzone przeze mnie czy znajdzie
choć jedno w tajdze stworzenie?!
1960



Cienka nie wąskotorówki
prawie gubiła się w zielonym chaosie
drewna, listowia, pierwotnej
i nieukształtowanej masy
lasów białoruskich —
ale ta nie była metalowa
jak struny fortepianu,
telefonu,
elektrycznej gitary...
Lubiłem metale,
których nie może rodzić natura —
jeno połączna magia
człowieka przemysłowego.
Wciąż zachca wielony szum
białoruskich lasów.
Ciepła woda,
mała trawa,
Człowiek żelazną ręką ujarzmił przyrodę.
Ma — oczy ze stali,
w głosie słychać metal.



Energiczny, natarciowy, niepowstrzymany
biochemik o niebiskopskich oczach
i wspaniałej bodzie archiereja
przebiegł ebok maszyn leczących,
skrzęcających przez całe doby,
chwycił ze stołu przerażonej
i jednocześnie zachwyconej
laborantki
arkusik z kilkoma liczbami
i wkroczył do sacrum sanetum swojego instytutu,
zdecydowanie łaskawie odpychając
„Cherubina i miecz płomienisty i obrotny
ku strzeżeniu drogi drzewa żywota.”



O czym rozmawiają
w czasie wolnym od zajęć
cztery automaty,
specjalizujące się w sprzedaży napojów
(wino i soki kawa i kakao),
które stoją tutaj
w eleganckich ubraniach współczesnych
(z chromowanego metalu),
zjawiający naturalne pozy
niczym inteligent,
co to przypadkiem
spotkali się na malarskiej wystawie?

BIOGRAFIA

W szesnastym wieku
młody Anglik z dobrej rodziny,
by się dobrze przed trzydziestym rokiem życia
solidnego zyciorosu,
niemal musiał się wysilić.
Musiał przynajmniej kilka lat przesłużyć
w jednej z armii
walczących na kontynencie,
gdzie przez cały czas trwały wojny
o hiszpańskie, austriackie lub
jakiegokolwiek inne dziedzictwo,
wojny siedmioletnie, trzydziestoletnie i stuletnie.
Powinien był wziąć udział
w wyprawie do brzegów Ameryki.
Powinien był w międzyczasie zdażyć zapisać się
jako student
na uniwersytet w Padwie,
nauczyć się włoskiego języka i sposobów Petrarcki,
żeby w Tower, czekając na kazię,
napisać na cześć królowej
czternaście nieskazitelnie wytwornych wersów,
zasługujących na to,
by stać się ozdobą antologii poezji angielskiej

Przekład: JAN HUSZCZA

WŁADIMIR BRITANISZSKIJ ur. w 1933 roku w Leningradzie. W latach 1956-73 pracował jako inżynier geofizyk, brał udział w różnych dalekich ekspedycjach poszukiwawczych. Debiutował tomikiem wierszy w 1956 roku, jest też autorem tomu prozy. Otrzymał nagrodę ZAIKS za przekłady z poezji i prozy polskiej. Tłumaczył także z angielskiego. Wszystkie wiersze, poza datowanym 1960, pochodzą z nowej książki „Otkrytoje prostranstwo” (Przestrzeń otwarta, Moskwa 1980).

W środku lata w praskim biurze „Budimexu” milczą telefony. Dyrektorzy krążą po budowach albo urlują. Po raz pierwszy więc jadą do Czakowic bez uprzedzenia.

Czakowice — to peryferie na północy Pragi. Jedzie się tu długo, a wysiada w polu. Dobrze widać tutaj przesuwaną się granicę miasta. Już za parę lat budowlane wykopki zatrą miedze, oddzielając jeszcze osiedla: Czakowice, Proszek, Letnany... Powstanie nowa dzielnica.

W pewnym stopniu będzie to również zasługą Polaków, którzy od czterech lat budują na czakowickich polach kombinat mięsny. Jest to obecnie jedna z ważniejszych praskich inwestycji. W niedalekiej przyszłości zaopatrywać będzie w mięso (i jego przetwory) połowę mieszkańców stolicy.

Na razie gospodarze pokazują budowę zachodnim gościom jako wzór dobrej roboty... Wśród „polskich budów” w CSRS ma ona we współzawodnictwie — pierwsze miejsce. Z tych powodów niełatwo o niej pisać. Niemodnie. Bo nad autorem wisi posądzenie o dalszy ciąg... „propagandy sukcesu”.

1

Czakowice nie są naturalnie pierwszą — chronologicznie — „polską budową” na terenie CSRS. Długa lista (od 1967 roku przeszło sto pozycji) przynosią reklamówki „Budimexu”. Są tu np. cukrownia i osiedle domków jednorodzinnych, drukarnia i fabryka kauczuku, drogi i pawilon handlowy w Brnie, cementownia, nadajnik TV i... zabijki, których konserwację „Budimex” zleca od niedawna PKZ.

Centrala Handlu Zagranicznego „Budimex” to tylko „czapka”, reprezentacja ponad dwustu przedsiębiorstw polskiego budownictwa — mówi mi wicedyrektor „Budimexu” w Czakowicach inż. Wojciech Barczewski — Centrala sama w sobie nie ma potencjału produkcyjnego. Jest tylko organizatorem handlowej obsługi kontraktów, firmuje budowlano-montażową stronę inwestycji. A jest ich dzisiaj ponad trzysta — w siedemnaście krajach...

W Czechosłowacji „Budimex” realizował ostatnio 48 kontraktów, wartości 120 mln rubli (odliczając koszt elektrowni „Prunerzow II”, budowanej „pod klucz” za blisko pół miliona rubli). Jest to mniej więcej 20 procent całego eksportu do CSRS. Ale wszystko wskazuje na to, że czakowicka budowa będzie jedną z ostatnich. Plany handlowe na lata 1981—85 między CSRS a Polską nie przewidują nowych kontraktów na eksport do CSRS kompletnych obiektów i usług budowlano-montażowych. Zakłada się w zasadzie tylko wykonanie rozpoczętych prac. Tę eksportową lukę — dla wyrównania płatniczego bilansu — będzie Polska musiała pokryć eksportem maszyn.

Były w dotychczasowej budowlanej współpracy bezsporne sukcesy. Nie zawsze jednak idzie tak dobrze, jak chociażby z regulacją dwustu kilometrów Łaby, zakończoną na 233 dni przed terminem... Możliwie, bardzo mozolnie przebiega realizacja „Prunerzowa II” 5-blokowej elektrowni cieplnej o mocy 1050 MW — ostatniej w CSRS na paliwo kon-

wencjonalne (węgiel brunatny). Budowa trwa już 3,5 roku, a dopiero niedawno minęła półmetek. W grudniu ub. roku — zgodnie z kontraktem — miał być oddany pierwszy blok Terminusu nie dotrzymano. Choć na około sześć lat zaangażowaliśmy tutaj spory potencjał energetyczny, kosztem — rzecz jasna — elektrowni budowanych w Opolu, Polańcu czy Bełchatowie; codzienne kłopoty budownictwa spowodowały kilkumiesięczne opóźnienie. Prace projektowe podzielono między kilkanaście biur projektowych, co odbija się na dokładności, rytmiczności i kosztach.

Losy tej budowy rozstrzygają się również w krajowych fabrykach i hutach. W styczniu 1980 roku nad możliwościami dotrzymania terminów debatowało nawet Prezydium Rządu, jeszcze w starym składzie... Obecnie przed karami umownymi ratuje się przewidywana i zwiększaniem zatrudnienia (z 3,5 do 5 tys.).

Wszystko to przesłania świadomość potencjalnych korzyści, jakie przyniesie nam budowa tej elektrowni (m. in. zwyczajna naszyta akcja na wolnodewizowym rynku budownictwa kompletnych obiektów energetycznych, oplacalne dla nas związanie — przez projekty — właścicieli elektrowni z polskimi służbami remontowymi i serwisowymi, możliwość przekształcenia deficytu w obrótach z CSRS w niewielką nadwyżkę — dzięki temu kontraktowi...).

Budowę kombinatu mięsnego „Praga — Północ” w Czakowicach poprzedziła podobna inwestycja, wznoszona w latach 1972—76 na południu miasta — w Libuszy. Każdy z tych zakładów ma produkować 40 tys. ton wyrobów.

Ale budowa „Libuszy” przyniosła nam również i straty. Niektórymi, niechlubnymi efektami zainteresowała się nawet prokuratura. Druga tego typu inwestycja siłą rzeczy musiała być lepsza, choć może nie mówi się o tym na budowie wprost, zwłaszcza przy dziennikarzu... Całością naszych aktywów i strat w eksporcie budownictwa ma zresztą zająć się specjalna komisja mieszana. Zgodnie z punktem trzydziestym Porozumienia między Krajową Komisją Koordynacyjną Budownictwa NSZZ „Solidarność” a Komisją Ministerstwa Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych (podpisanego 23.X.80 r. w Gdańsku) celem tej komisji będzie „dokonanie oceny zawartych i zawieranych kontraktów oraz ich konsekwencji dla zadań krajowych”.

2

Ale w Czakowicach Czesi podziwiają naszą dyscyplinę i organizację pracy. Na początku jednak — wspomina inż. Władysław Zuber — nie bardzo nam dowierzali... Jak to było choćby z kotłownią? Miała ona być jednym z obiektów wykonywanych w pierwszej kolejności...

Gospodarze oświadczyli, że przedziej im kaktusy na rękach wyrosną, niż przekazemy obiekt w terminie. Oddaliśmy to było nasze pierwsze zwycięstwo. Potem przyszły następne.

Jesienią 1980 roku czescy partnerzy — do których należy montaż urządzeń technologicznych — jakby przestali nadążać za tempem Pola-

ków. W listopadzie było wiadomo, że termin oddania inwestycji przesunie się o ok. 9 miesięcy.

Miałem okazję sprawdzić, że w polskiej robocie tempo nie rosło wcale kosztem staranności. Przykładem — efekt prac wykończeniowych w budynku socjalnym, mieszczącym stołówkę szatnie i łazienki. Ułożenie ceramicznych płytek oraz kafelków ktoś określił mianem... „symfonii budowlanej” (a jest to opinia bezstronnego fachowca). Nie ma w tym przesady, choć trudno też o szybkie

TOMASZ SOLDENHOFF

BUDOWAĆ JAK NA SWOIM

(Korespondencja z CSRS)

i celne porównanie z przykładem z jakiejś innej mi krajowej budowy. Na czym polega „sekrety” gładkich tynków i równo położonej glazury? Spytany o to Stanisław Jasiński z wrocławskiego „Instalu” który m. in. kierował tymi pracami, odpowiada: — Po prostu robimy to dłużej niż w kraju, na wydłużonym dniu pracy, po godzinach...

Inż. Zuber: — Nikomu tutaj nie opłaca się robić źle, bo trzeba wtedy robić dwa razy, po raz drugie za darmo. Generalna zasada na budowie jest podporządkowanie się ludzi obowiązkom wynikającym z kontraktu. Tutaj nikt nie mierzy czasu pracy zegarkiem. Najważniejszy jest termin, jaki zaplanowano w umowie.

W wielu miejscach widać tego dowody. Ład i porządek wokół — to trzeba zaznaczyć — nie oddanych przecież jeszcze obiektów (do końca budowy przeszło rok) przyjemnie kontrastuje ze wspomnieniami hałaganu, charakterystycznego co tu dużo mówić dla większości naszych placów budów. Jakos nie widać porzucanych, rozprutyh worków z cementem leżących pod gołym niebem ani stert nikomu nie potrzebnej cegły, nie wspominając o cenniejszych urządzeniach. To, co było zbędne wywiezione, teren wwrównują spychacze, sprząda się ziemię, formuje trawniki, wylewa asfaltem alejki, sadzi drzewka... Tak jak się tu już stało wcześniej w — usytuowanej na skraju — części socjalno-administracyjnej.

Wrażenie rośnie, gdy inż. Zuber wylicza mi na palcach miasta, z któ-

rych pochodzą budowlańcy. Palców nie starcza, więc inżynier wykrzykuje:

— Po prostu cała Polska tu jest! Każdą „działką” zajmuje się inne przedsiębiorstwo (w sumie zanotuj ich w listopadzie dziewięć). Mego przewodnika po budowie — specjalistę do spraw BHP — przywiodło tu z Wrocławia. Ale na liście są również Górale, Kaszubi, z Poznańskiego, Kieleccy... Udało się tu pogodzić i skoordynować tak różne żywioły, tak często różniocowane — za sprawą regionalnych tradycji — stosunek do pracy.

I sekretarz POP Adam Świstak podkreśla wagę prawidłowego doboru pracowników. Ale przecież i z tym bywa różnie. Teoretycznie przedsiębiorstwa, zgłoszone do realizacji umowy, powinny wybierać i delegować do wrocławskiego Biura Eksportu Zjednoczenia Budownictwa najlepszych. Tymczasem nieraz decydują inne kryteria (a często i zwyczajne „chody”) i oto wyjazd na stanowisko zwykłego robotnika załatwia sobie... inżynier. Na opisanej niedawno przez dwutygodnik „ITD” budowie — w jednym z krajów arabskich — ponad 1/3 zatrudnionych nie posiadała wymaganych kwalifikacji, a 12 procent robotników nie pracowało wcześniej w zawodach, które mieli wymienione w umowie. Co prawda w Czakowicach nie zdarzyło się jeszcze, aby piekarz wykonywał pracę... zbrojarza, jak to zdarzyło się gdzie indziej.

Właściwe kwalifikacje, dyscyplina, ale i „podejście” do ludzi składają się, zdaniem szefów budowy, na powodzenie.

Dyr. W. Barczewski: — Biuro Eksportu podpisuje umowy z regulacją na rok. Przedłużenie zdarza się wyjątkowo, jest formą nagrody za dobrą pracę. Jeżeli ktoś sprawdza się i nie ma lepszego od siebie następcy — zostaje na dłużej. Ale 2 lata to już maksimum. Tu ludzi nie przytrzymuje się bez potrzeby.

Inż. W. Zuber: — Już na początku wyjaśniamy, jakie są wymagania, warunki i trudności. Karzemy bardzo rzadko, ale za to surowo. Powrót do kraju jest ostatecznością.

W lipcu ub. roku stan zalogi przekraczał 800 osób. Jesienią zmniejszył się o połowę. Zbliżył się koniec I etapu budowy. Opustoszały robotnicze hotele.

Zaloga jest w ciągłym ruchu, trudno, więc mówić o ścisłej integracji — stwierdza inż. Jan Jagaczewski, przewodniczący rady zakładowej.

A jednak budowa znana jest z podejmowanych tu socjalnych i kulturalnych akcji. Służby one mają integrowaniu ludzi. Opowiada o nich szef RZ, inżynier z Głogowa, pracujący w Czakowicach od półtora roku. Wśród pierwszych obiektów postawionych przez Polaków były kawiarnia i sala widowiskowa. W każdy poniedziałek wyświetla się w kinie w Czakowicach polski film dla ludzi z budowy (wstęp wolny). Na inne imprezy można pojechać do Pragi: rada zakładowa zwraca połowę ceny biletu do teatru czy kina. W organizowaniu imprez budowlani współpracują m. in. z Polskim Ośrodkiem Informacji i Kultury.

Na większe imprezy zaprasza się zespoły z Polski i Czechosłowacji, ale podczas organizowanych co miesiąc przez Koło ZSMP wieczorków tanecznych gra własna budowlana orkiestra. W ozdobionym proporczykami i dyplomami pokoju RZ słucham opowieści kilku zapalonych wędkarzy, których wcale liczne, bo 50-osobowe grono odnalazło się i zorganizowało na budowie. Do imprez koła dopłaca rada zakładowa, podobnie zresztą jak do innych sekcji sportowych. Działają tu kilka.

A sekretarz Adam Świstak prowadzi mnie na skraj placu budowy i mówi:

— Interesuje pana kultura robotników? Pokażę panu coś niestereotypowego...

Na pierwszy rzut oka jednak nie oryginalnego. Przy drodze na zaplecze budowy stoi niepokojny barak. Wygląda na biurowiec i był nim zresztą kiedyś, na innej budowie, zanim stał się hotelem, czy raczej — mówiąc ściślej — tymczasowym domem rodzinnym dla zatrudnionych na budowie pracowników. To bardzo proste. Przeciętny czas pobytu w Czakowicach trwa rok. Niby nie jest to dużo. Poza tym budowa nie jest szczególnie odległa od kraju, porównując choćby z Nigerią czy Kuwejtem. Raz na kwartał rada zakładowa finansuje połowę kosztów podróży do Polski. Coraz łatwiej też wyskoczyć na weekend do domu — stale przybywa zmotoryzowanych... Ale decyduje o tym — jednym w swym rodzaju — hotelu dla przybywających w odwiedziny rodzin. Podjęto na budowie zgodzie. — Nie wydaliliśmy nawet żółtówki! — podkreśla sekretarz. Przy adaptacji na hotel przepracowano społecznie ponad 10 tys. godzin. Półtora roku temu biurowiec nie wart był nawet stu tysięcy, dziś wart jest 1,5 mln.

Przyjeżdżają więc żony, często z dziećmi, przyjeżdżają rodzice. Teoretycznie każdy na budowie ma prawo do dwutygodniowych wczasów z rodziną bez... opuszczania placu budowy. Praktycznie jednak chętnych jest dzisiaj razy więcej niż miejsc. Zwłaszcza że są to miejsca dosłownie za „psi pieniądz”. Doba kosztuje zaledwie 5 koron za łóżko (w normalnym hotelu średniej klasy ok. 50), a wyżywienie 12 (bez kolacji). W dodatku dyrekcja zapewnia przybywsom turystyczne atrakcje.

Cheemy to wykorzystać dla przybliżania rodzinom naszych pracowników kraju i ludzi. Organizujemy wycieczki, imprezy, spotkania — opowiada inż. Świstak, który przez cały czas naszego obchodu budowy uparczywie kogoś szuka...

Poszukiwanym jest inż. Nowicki, nadzorujący dekarzy. Sekretarz z zapalem pertraktuje z nim na temat reperacji dachu hotelu (widać, że to jego „oczko w głowie...”). Dekarze, nie narzekający na brak roboty, drocą się przez chwilę z sekretarzem. — W końcu jutro w pokoju pod dziurawym dachem może zamieszkać żona któregoś z was — argumentuje inżynier. Robotnicy przyrzekają naprawić przeciek. Rzecz jasna — bezinteresownie. Każdy z nich szuje się gospodarzem na tej budowie. Odpowiedzialnym nie tylko za swój odciniek. Myśli i pracuje tak, jakby na swoim.

Wydarzenia w Portugalii wciąż dostarczają powodów, aby w komentarzach powracać do tego kraju. Na początku grudnia ub. roku odbyły się tam wybory prezydenckie, których wynik ponownie oddał urząd prezydencki w

poniżej — będą chronione. Przed kilku dniami natomiast zaprzysiężony został nowy rząd z Pinto Balsemao na czele.

Jest to już trzynasty rząd od tamtej pamiętnej daty. Konserwatywny, jak poprzedni, ponieważ utworzony przez przedstawicieli tzw. Sojuszu Demokratycznego. Jest to jak wiadomo, ugrupowanie sił prawicowych i utrzymanie władzy w jego rękach oznacza niespokojny czas dla Portugalii, nasilenie walki z lewicą i prezydentem.

Dlaczego?

Otóż prawica chce za wszelką cenę zmienić konstytucję, która uważana jest za najbardziej postępową na zachodzie Europy. Gwarantuje ona reformę rolną, nacjonalizację części przemysłu, funkcjonowanie rad robotniczych... Nie więc dziwnego, że siły prawicowe zamierzają w niej dokonać korekty. Do tego jednak trzeba 2/3 głosów w parlamencie, a taką liczbą mandatów Sojusz nie dysponuje. Z tego też względu nowy premier oświadczył, że szukać będzie wsparcia w Partii Socjalistycznej, która — przypomnijmy — poprzednio formowała rząd. Jej poparcie znajdzie? Wydaje się wątpliwe. Autorytet przywódcy socjalistów — M. Soaresa jest nadwątlony i zgoda na skłamanie się z bliźni zachowawczymi dla takiego celu, jak: wiza konstytucji, musiałaby być krokiem samobójczym.

Komentatorzy nie wierzą, że Sojuszow uda

się „uwstecznic” konstytucję. Jednakże próby takie będą z pewnością podejmowane, a to nie wróży stabilizacji w kraju.

Przy tej uwadze raz jeszcze wróćmy do grudniowych wyborów prezydenckich. Chcemy bowiem podkreślić, że tym razem Soares był kandydatem „ogólnonarodowym, ponadpartijnym i niezależnym”. Portugalczyki, wiążący dalsze nadzieje z „rewolucją goździków”, liczą, że swym autorytetem i pozycją może on „zagrozić drogę zamachom prawicy na zdobycze sprzed prawie siedmiu lat”.

Z innych tematów tygodnia wybierzmy bliską już zmianę na stanowisku prezydenta USA. Jak wiadomo, 20 stycznia urząd ten obejmie zwycięzca listopadowych wyborów — R. Reagan. Pełno więc w komentarzach ocen spekulacji domysłów, jak pod jego rządami — republikanina-konserwatysty — potoczy się polityka wewnętrzna i zagraniczna USA. Przede wszystkim zaś, czy i kiedy podjęty zostanie dialog z ZSRR. I dalej — czy jego pierwszym tematem będzie zawieszona przecież w próżni porozumienie SALT II i cały kompleks spraw, związanych ze zbrojentami.

Praktyka udowodniła, jak wielki wpływ na stan stosunków międzynarodowych i odprężenie światowe mają kontakty między dwoma największymi mocarstwami. Reagan — przypomnijmy — w końcowej fazie kampanii wyborczej i już po zwycięstwie uznał tę prawid-

łość, że pokój na świecie zależy w wysokim stopniu od stosunków USA z ZSRR. Powinna więc z tego wynikać polityczna praktyka.

Tymczasem w Stanach Zjednoczonych w senackich komisjach trwają przesłuchania w sprawie dokonanych przez Reagana nominacji. Szczególnie zainteresowanie wzbudza kandydatura A. Halga na stanowisko sekretarza stanu. A to głównie z powodu roli, jaką odegrał w ostatnich miesiącach prezydentury Nixona. Chodzi oczywiście o aferę Watergate. Ten aspekt podnosią demokraci, grożąc, że próby tuszowania przez republikanów tej roli przeciągną dyskusję i opóźnią akceptację nominacji.

Senatorzy interesują się też niektórymi poglądami Haiga. Oczekują, że po niej świateli swe stanowisko na temat Afryki. Trzeciemu Świata i innych problemom światowych w których bądź nie wypowiadał się wcale, bądź jego opinie były powierzchowne.

Zakończmy przegląd wydarzeń stwierdzeniem, że dużo emocji w ostatnich dniach wzbudzała w Stanach Zjednoczonych sprawa amerykańskich zakładników, przetrzymywanych w Iranie. Przy mediacji Algierii trwały rozmowy i, prawdę mówiąc, targowano się o pieniądze, o wielkość sumy, którą złożył USA. Komentatorzy spodziewają się, że ostatnie godziny prezydentury Cartera przyniosą powrót zakładników do domu. Nie uprzedzamy faktów...

W. ŚLAWSKI

TYDZIEŃ W POLITYCE

reğe R. Eanesa. Jego nazwisko łączy się bezpośrednio z znaną „rewolucją goździków” w 1974 roku, a więc grudniowa elekcja stała się jak gdyby potwierdzeniem, że idee tej rewolucji — mimo prób zamachów na nie, o czym

O publicystyce Włodzimierza Sokorskiego pisałem w tym miejscu wielokrotnie. Wracam do tego tematu po każdej nowej książce publicystycznej tego pisarza i działacza politycznego. Wiem doskonale, że po każdej książce Sokorskiego sypie się lawina listów i sprostowań na łamach prasy literackiej. Sokorski pisze nieco nonszalancko, nie zawsze sprawdza fakty, zbyt często zawiera własnej pamięci... Ale to co pisze jest zawsze żywe, pełne pasji i swoistego uroku. Oczywiście nie zawsze

powiedziałem, że nie na przypadkowych potknięciach decydują się losy historii, lecz na wypadkowej wielu zjawisk, w tym błędów i zakrętów, które są częścią ogólnego rozwoju". Zdają sobie sprawę jak trudno byłoby dziś na podobne pytanie odpowiedzieć tak samo — że wypadkowa, że przypadkowe potknięcia... A przecież godne uznania jest to, że i dziś Sokorski nie unika dyskusji i odpowiedzi na trudne pytania. Cała ta książeczka to przecież także efekt cyklu wykładów na Uniwersytecie Warszawskim.

Brak koncepcji akurat w chwili, gdy jest ona jak najbardziej potrzebna. Z rozdziału o przededniu Października przepisuję dalsze zdania, które brzmią mi niezwykle aktualnie: „Tolerancja jest warunkiem twórczej myśli. Lecz tolerancja bierna kryje bezwład ideologiczny w równym stopniu co jej zaprzeczenie. Tolerancja aktywna musi oznaczać posiadanie określonych pozycji, o które się walczy. Tych pozycji nam dzisiaj brakuje. Nie dlatego, że ich nie ma, lecz że weszliśmy w etap przeczenia, który nie sprzyja aktywnemu rozwojowi przyjętych przez nas pryncypiów, i to w stopniu równie szkodliwym co wczorajszy dogmatyzm”.

Dywanguje tak sobie na marginesie nowej książki Sokorskiego, zdając sobie sprawę, że dla mnie, dla mojego pokolenia otwierają te strony szerokie pole do refleksji. Niestety — niewesołej refleksji.

Natomiast dla pokolenia, które jeszcze dziesięć lat temu za ledwie kończyło szkołę podstawową — ta książka będzie swego rodzaju dokumentem czasu.

Będzie to książka dokumentem mówiącym, że nie wszystkim jest takie proste i jednoznaczne. W naszej najnowszej historii nie ma podziału na etapy „dobre” i „złe”. W „złych” bowiem działo się wiele dobrego — a w „dobrych” bardzo wiele złego. Ta pokrotność naszej współczesności wyziera bardzo wyraźnie z książki Sokorskiego — jest ona bowiem dokumentem podróży po drodze, która nie szczędzi nam zakrętów.

WIDOK

CO TO JEST ANARCHIA?

Mamy takie czasy, że trzeba liczyć się ze słowami, choć swoboda dyskusji panuje wielka. Każdy mówi, co chce i myśli, i bardzo dobrze. O to chodzi, żeby można było swobodnie mówić, to co się myśli. Zawsze dobrze jest podskutkować swobodnie, zanim przystąpi się do realizacji jakiegoś postanowienia. Lepiej dyskutować przed robotą niż w czasie roboty. Dlaczego więc trzeba liczyć się ze słowami?

Chodzi po prostu o to, aby w dyskusji używać słów w takim znaczeniu, jakie one rzeczywiście posiadają. A to nie jest takie łatwe. Przez wiele lat odzwyczailiśmy się od mówienia wprost, posługiwaliśmy się często aluzją i słowa nabierały innego znaczenia niż je w rzeczywistości posiadają. Nauczaliśmy się tego i dziś nie wszyscy potrafia się od tego odzwyczaić. Dlatego właśnie mamy takie czasy, kiedy trzeba liczyć się ze słowami. Trzeba od nowa przywracać im właściwy sens.

Na przykład anarchia. Z filmów historycznych traktujących o czasach wojny domowej w Rosji wiemy, że ówczesni anarchiści wypisywali na swoich sztandarach hasła: „Anarchia matką porządku”. Dla nas jednak anarchia jest przeciwieństwem porządku. W potocznym rozumieniu jest to taki stan, kiedy panuje zupełny bałagan, dezorganizacja, kiedy każdy robi co chce, nie licząc się ze skutkami tego, co robi. „Encyklopedia powszechna PWN” anarchię określa jako „dezorganizację, stan chaosu powstały wskutek niemożności lub braku środków władzy, zwłaszcza władzy państwowej”. Istnieje też anarchizm — kierunek społeczno-polityczny, przeciwstawiający się wszelkiej władzy państwowej, zmierzający do jej zniesienia. Anarchizm mówi jeszcze tu i ówdzie zwolenników. Nie sadzę, aby wśród Polaków, którzy wprawdzie władzy z przyzwyczajenia nie kochają, ale potrafią na tyle trzeźwo myśleć, że rozumieją jej niezbędność.

Fryderyk Engels napisał kiedyś: „Sily społeczne, podobnie jak sily natury, działają ślepo, gwałtownie, niszcząco — dopóki ich nie poznamy i nie zaczniemy się liczyć z nimi”. Myślimy sobie wzdłuż, że w społeczeństwie socjalistycznym sily

spokorne są już ułaskane, ułagodzone, gotowe pokornie słuchać władzy i zgadzać się z wszystkim, co ona powie w myśl zasady, że władza zawsze ma rację. Wyszukując taką tezę stawiliśmy władzę ponad społeczeństwem, jako czynnik nadrzędny, zamiast poddawać ją społecznej kontroli i w ten sposób umożliwiając siłom społecznym wpływanie na treść i formę sprawowania władzy. Jest to bardzo istotny problem każdej demokracji. Jeśli kontakt władzy ze społeczeństwem zaczyna się rwać, to władza może dojść do bardzo błędnego wniosku, że jest tak silna, że już się nie musi liczyć ze społeczeństwem. I potem przychodzą przykre rozczarowania i bardzo przykre skutki tych rozczarowań. Okazuje się bowiem, że pozory sily zamieniały się w realną niemoc. Wtedy ratunku szuka się w zmianach personalnych, zapominając, że już Karol Marks przestrzegali, iż „zmiany personalne stwarzają pozory, że zmienia się sama sprawa”. A chodzi również o to, aby zmieniły się też metody postępowania.

Jest jednak i druga strona tego zagadnienia. Tu musimy znowu powołać się na Fryderyka Engelsa, który pisał: „Musimy wszyscy przynajmniej, że nikt z nas nie może się obejść bez swoich bliźnich, że już sam interes skłania nas wszystkich do siebie, a mimo to nasze czyny przyczyniają się do zniszczenia społeczeństwa, które jest jego własnością”. Jest jednak i druga strona tego zagadnienia. Tu musimy znowu powołać się na Fryderyka Engelsa, który pisał: „Musimy wszyscy przynajmniej, że nikt z nas nie może się obejść bez swoich bliźnich, że już sam interes skłania nas wszystkich do siebie, a mimo to nasze czyny przyczyniają się do zniszczenia społeczeństwa, które jest jego własnością”. Jest jednak i druga strona tego zagadnienia. Tu musimy znowu powołać się na Fryderyka Engelsa, który pisał: „Musimy wszyscy przynajmniej, że nikt z nas nie może się obejść bez swoich bliźnich, że już sam interes skłania nas wszystkich do siebie, a mimo to nasze czyny przyczyniają się do zniszczenia społeczeństwa, które jest jego własnością”.

Zawsze stałem na stanowisku, że — posługując się ludowym przysłowiem — „nie ma dymu bez ognia”. Nie ma skutków bez przyczyn. Banał? Niewątpliwie. Ale jakże często dziś, i nie tylko dziś, zapomina się o tej banalnej prawdzie. I zamiast szukać przyczyn różnych konfliktów próbuje się zmieniać ich skutki! Próba to praca. A przyczyn nie odnajdzie się, bez rzetelnej analizy wielu zjawisk społecznych, gospodarczych. Dla takiej analizy potrzebna jest dyskusja, w której używać się będzie precyzyjnych pojęć i słów zgodnie z ich rzeczywistą treścią.

MARCIN RÓDAK

REFLEKSJE O KULTURZE

zgadzam się z jego ocenami i poglądami, ale ta publicystyka ma ogromny walor — jest wiarygodna i bardzo osobista.

Nic więc dziwnego, że sięgnąłem z zainteresowaniem po nową książkę Włodzimierza Sokorskiego, zatytułowaną nieefektownie „Refleksje o kulturze”. Są to — oczywiście — refleksje nie tylko o kulturze, a już szczególnie zainteresowały mnie uwagi pisarza (i ówczesnego ministra kultury) na temat odnowy sprzed ćwierćwiecza.

Pisze Sokorski: „Gdy w roku 1955 zapytano mnie w auli Uniwersytetu Poznańskiego, dlaczego bronie socjalizmu, mimo nieuniknionego procesu odejścia polityki partyjnej i państwowej od dotychczasowych zasad, od-

I jeszcze jeden cytat: „Pomyśl by rotacją i nieustanną reorganizacją zahamować destrukcyjne procesy, nie był koncepcją twórczą. „Zamiast” nigdy nie jest polityką, lecz zawołaną słabością”. Żeby nie było żadnych wątpliwości — te słowa dotyczą połowy lat pięćdziesiątych.

Pisząc o tamtych latach Sokorski stwierdza, że cały ówczesny ruch polityczny nie był sam w sobie niebezpieczny. Mógłby świadczyć o ożywieniu, gdyby jednocześnie równie ofensywną postawę wykazywała partia. Tymczasem tak nie było. Polityka kulturalna nabrała wprawdzie nowych barw — niestety, nikt nie posiadał nowej koncepcji.

Odwieczny polski problem!

TELEWIZJA

Jeszcze kilka miesięcy temu pisanie o telewizji (pomijam zapowiedzi programowe) było działaniem o pozornej użyteczności publicznej. Można sobie było pisać do woli. Szełowe TVF mieli swój OBOP (Ośrodek Badań i Opinii Publicznej), który na tyle spełniał swoją rolę, na ile potwierdzał decyzje programowe. Był to taki GUS, którego danymi trzeba było się niekiedy poddawać, tłumacząc oczywiste bzdury programu. Mogę się mylić. Usprawiedliwieniem niechaj będzie fakt, że instytucja ta wydając swoje biuletyny o bardzo ograniczonym zasięgu, odbiorców, jest jakimś mitem, którego treść — jeśli były upowszechniane — to na zasadzie przypadku, bądź w specjalnych, acz mało istotnych, okolicznościach. W niedzielnych „Spotkaniach w Dwójce” poddano ocenie telewizorów polskie seriale. Do najgorszych widzowie zaliczyli takie tytuły jak „Życie na gorąco” oraz „W słońcu i w deszczu”. A pamiętamy jak po emisji tych dwóch seriali telewizyjny sponsorzy przetrucali się statystykami „wysokiej oglądalności” przekonując nas do wartości obu serialowych fabuł. Zresztą pisałem już kiedyś na tym miejscu, iż ilościowe statystyki zdają się psu na bucie (tyle tylko, że pies telewizji nie ogląda), jeśli na liczbach się kończą.

Powiedziałem na wstępie tego tekstu, że „można było sobie pisać do woli”. Miałem oczywiście na myśli wolę instytucji, która ostatnio znalazła się w centrum uwagi. Właśnie trwają prace nad jej ustawowym uregulowaniem. Choć trzeba obiektywnie dodać, że felieton telewizyjny miał u cenzorów „wariackie papiery” zatem narzekajmy umiarkowanie. „Można było sobie pisać do woli” znaczy również to, iż nie należało

oczekiwać, aby krytyki odnosiły jakiś pozytywny skutek. Tak jak Pan Bóg nie odpowiadał przecież na modlitwy, tak telewizyjna kara na przechodziła mimo krytyk, kierując się wedle azymutów ustalanych tam gdzie wzrok nie sięga. Taką formułę przyjmowaliśmy w owe lata (jak mówią optymiści — minione) także organ Radiokomitetu „Radio i Telewizja”. Używam

TVP ZA ODEMKNIĘTYMI DRZWIAMI

czasu przeszłego, bo również do optymistów się zaliczam. Tygodnik ów jakby ostatnio się zmienił. Wprawdzie program tv. zajmuje w dalszym ciągu 1/4 stroniczki (w tym anonas „PR i TVP” zastępowają sobie możliwość zmian w programie) na każdy dzień, to jednak materiały publicystyczno-informacyjne, drukowane na dziesięciu stronach, wspomniany optymizm mowią. Przede wszystkim dlatego iż widać w nich chęć rozsądnej i poważnej rozmowy z widzami.

Ostatni numer z dnia 5—11 stycznia 1981 r. przynosi wywiad z przewodniczącym Komitetu do Spraw Radia i Telewizji Zdzisławem Balickim, który to tekst należy traktować jako wstępny wywiad programowy Wynika z niego jeszcze i to, iż musimy powściągnąć na-

szą niecierpliwość w stawianiu postulatów pod adresem telewizji. Prezes mówi między innymi, że „cały rok 1981 będziemy usunąć nieprawidłowości, oczyszczać — przy pomocy NIK — naszą hipotekę (...). Wiele jest tu rozróżnień, wiele niepotrzebnych funkcji, fikcyjnych etatów, ogromne kontrasty dochodowe, szereg złych inwestycji”. I dalej: „Musimy liczyć się z tym,

że w najbliższym czasie będziemy funkcjonować w bardzo trudnych warunkach finansowych szczególnie jeśli chodzi o dewizy. Nie obejdzie się bez cięć programowych”. Słuszne uwagi prezesa, które potwierdzała w całej rozciągłości to, co o TVP w ostatnich latach pisało, należałoby cytować dalej. Ważniejsze jednak jest w jakie konkretne kształty słowa te zdają się przyoblec. Za jakiś czas spróbujemy skonfrontować.

W omawianym numerze „Radia i Telewizji” podaje się także informacje o składzie Prezydium Komitetu, o konferencji sprawozdawczo-wyborczej PZPR pracowników radia i tv, o pracy Naczelnej Redakcji Dzienników i Publicystyki Telewizyjnej (w tekście, którego tytuł mówi sam za siebie: „Na niemo i za PAP-em?”). Zaglądamy za te odmykane drzwi z zaintere-

sowaniem. Sądzić należy, iż otworzą się one na tyle, że będziemy mogli w rzeczywisty sposób weryfikować założenia programowe i ich antenowe efekty.

We wspomnianym wywiadzie mówił też prezes Balicki o zamierzeniach w zakresie publicystyki telewizyjnej. W związku z tym, a także w związku z listem do „Odgłosów” T. H. Orłowskiego na temat jednego z moich felietonów, można byłoby się zastanawiać przez moment nad metodami pracy dziennikarza tv. Oto jeden przykład z czwartkowego „Pegaza”, w którym podjęto m.in. sprawę bódzkiego Teatru im. Juliana Tuwima. Znajac ją chc'by z tamów „Odgłosów”, widzi się niezbyt wprawne szwy jakimi posłużył się dziennikarz interwencyjnego reportażu w „Pegazie”. Bo niby ze słusznym oburzeniem przedstawia sytuację teatru, niby próbuje ton tego reportażu obiektywizować, ale w rezultacie jego prawnie nie rzuca się najwyraźniej. Nie chciałbym przekraczać swoich kompetencji, jednak — włączając się do tego, co na temat Teatru im. J. Tuwima w Łodzi pisało — mam wrażenie, że „Pegaz” wziął udział w rozrachunkach o których nie wie, albo w sposób świadomy je pominał. Podobnie zresztą jak w przypadku dyrektora malborskiego zamku, o czym pisał w swoim liście czytelnik „Odgłosów”. Oba przykłady mogą stanowić punkt wyjścia do dyskusji na temat społecznych funkcji publicysty, jego odpowiedzialności i etyki zawodowej. Uważam, że taką dyskusję trzeba prowadzić.

GRZEGORZ GAZDA

TEATR TV

„Pustaki” Edwarda Redlińskiego na ekranie telewizyjnym sprawiły mi satysfakcję przede wszystkim z dwóch powodów. Primo: za kanwę widowiska posłużył współczesny rodzimy utwór dramatyczny, od czego nas telewizja odzwyczaila w latach

wywodzący ród z Frampola na ziemi białostockiej, swoje obserwacje dziennikarskie z lat sześćdziesiątych, dotyczące przemian społecznych i obyczajowych zachodzących na wsi w miarę urbanizacji, użytkował w pracy literackiej. W 1973 roku ukazały

średnio udanych adaptacji scenicznych własnych książek po czym napisał oryginalne teksty dramatyczne: prezentowany w ubiegłym roku w Łodzi przez Teatr im. Tuwima „Cziworoką” i pozostające do dziś w repertuarze Teatru im. Jaracza „Pustaki”. Nie wydaje mi się, by oba te utwory stanowiły krok do przodu w stosunku do powiesiowej twórczości pisarza.

Redliński nie próbuje transponować na dramacie jedynej w swoim rodzaju metafory poetyckiej. Dramaty jego utrzymane są w konwencji małego realizmu ze wszystkimi jego konsekwencjami. Dziennikarski dydaktyzm i interwencyjność obniża ich rangę literacką.

W słowie wstępnym do spektaklu telewizyjnego „Pustaków” poinformowano nas, że tekst powstał młej więcej przed półtora rokiem, i że wówczas, w warunkach przemilżania i przeczaczenia obrady o życiu („włączanie koloru” — tak określają to bohaterowie sztuki) był on ze strony autora aktem odwagi. No, być może, że pewnością, ale to nie zmienił fakt, że sztuka Redlińskiego oglądamy dziś, w nowych warunkach. Zawarta w niej publicystyka przegrwała nieuchronnie z pierwszym z brzegu telewizyjnym programem, jak

choćby z trybuną reporterską „Blisko i daleko”, czy nawet z „Listami o gospodarce”. W stosunku do śmiałych, sięgających po najtrudniejsze problemy reportażu telewizyjnego „Pustaki” są jak łechtanie piórkiem słońca...

Wprawdzie w sztuce Redlińskiego zawarte są pewne rozrachunki moralne, ale w typowy dla tamtych lat sposób ukazane na niskim szczeblu Owego biuro zajmujące się cybernetycznym przetwarzaniem danych, skomputeryzowane, splatanie pajęczą siecią układów i współzależności, istnieje jakby w izolacji od całego systemu biurokratycznego załagania, który jeżeli nie determinował ludzkiego jednostkowego działania, to wysycił na nim swoje piętno.

„Pustaki” są ponadto tekstem o pewnych wadach konstrukcyjnych i dramaturgicznych. Główny konflikt sztuki jest ustawiony niezbyt precyzyjnie, sposób jego narastania i kulminacji dość anemiczny. W kwestiach bohaterów nie brak też humoru nie najwyższej próby.

Nie wiem, czy słabości tkwiących w tekście i pogłębianych przez zmienioną sytuację społeczno-polityczną w kraju nie była świadoma Telewizja Łódzka i reżyser przedstawienia Roman Kłosowski. Przesądzały one

jakby z góry, że przeniesienie sztuki na ekran nie będzie wydarzeniem ani artystycznym, ani publicystycznym. Można więc było poważnie przeanalizować celowość wystawienia sztuki w telewizji.

Widowisko zrealizowane zostało poprawnie, wadki prowadzone symulanicznie przy wykorzystaniu możliwości, jakie daje technika telewizyjna. Miałbym natomiast nieco pretensji do sposobu prowadzenia poszczególnych aktorów. Powodowało ono, że spektakl pod względem aktorskim jest nierówny, niektóre postaci wyłamują się z konwencji całości widowiskowej, grawitują ku grotesce.

W ogóle aktorzy sprawiali wrażenie, jakby nie byli do zadań swych przekonani. Uwzględniając omówione wyżej słabości tekstu, jest to w pewnym sensie usprawiedliwione.

Tak więc rzadka szansa wejścia teatru Telewizji Łódzkiej na antenę nie została wykorzystana summa summa laude. Obejrzałem spektakl co najwyższej poprawny, a chciałoby się naszym teatrowi stawiać zadania wyższe.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

RZECZ O „WŁĄCZANIU KOLORU”

ubległych dość skutecznie. Secundo: rzecz przygotowana została przez Zespół Telewizji Łódzkiej, w oparciu o łódzkie środowisko teatralne, co również było od lat rzadkością. Trzeba (po raz który z rzędu?) stwierdzić, że centralistyczna polityka dyrekcyj programowej TVP wykreśliła praktycznie Łódź z udziału we współtworzeniu teatru telewizyjnego, wymazując niemal z pamięci ludzkiej piękne w tym względzie tradycje naszego ośrodka.

Oba źródła satysfakcji okazały się jednak dość mało wydajne w miarę śledzenia przez nas widowiska. Zaczynamy od tekstu. Edward Redliński,

się dwie jego krótkie powieści, lub dłuższe opowiadania, „Konopielka” i „Awans”, z których ta pierwsza zwłaszcza stała się bestsellerem. Oko, zwracającym na młodego wówczas pisarza powszechną uwagę w obu powieściach autor korzysta po mistrzowsku z poetyckiej i satyrycznej deformacji, która na przykład w „Awansie” prowadziła od realistycznej sytuacji wyjściowej do założonego absurdu.

Po tak świetnym starcie epickim Redliński skłania się od kilku lat ku dramaturgii, uważając ją jak się zdaje za wyższą, szlachetniejszą formę wypowiedzi literackiej. Zaczął od